



Prenumerata wynosi w Galicyi i Austrii: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — Do Niemiec: Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specjalnie zastrzeżonym 28 halerzy.



Wychodzi każdej soboty.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelnny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIII.

Kraków, 12 sierpnia 1916.

Nr. 33

Historyczny dzień w Warszawie.



Powitanie prezesa warszawskiej Rady miejskiej, rektora Brudzińskiego (X), przed bramą Ratusza. (XX) Szef departamentu wojskowego N. K. N. podpułkownik Sikorski.

Treść numeru: Rocznica szóstego pułku Legionów. — Z polskich pobojozwisk. — Na wschodnim froncie. — Nowe sądownictwo w Królestwie Polskiem. — Szlakiem bojowym Legionów. — Odświeżenie pamiątkowej tarczy na Woli Justowskiej. — Dawniej a dziś. — Ze szkolnictwa polskiego w Kielcach. — Z żałobnej karty Legionów i t. d.

Historyczny dzień w Warszawie.

Wśród krwawej pożogi wojennej, która zgłiszczami i mogiłami pokrywa ziemię polską, w stolicy Polski zajaśniały potężne błyski nowego życia i lepszej przyszłości. Po uroczystościach otwarcia uniwersytetu polskiego i obchodu Trzeciego Maja, w których Warszawa dała tak wspaniały dowód swej siły wewnętrznej, trzeźwości politycznej i godności narodowej, przyszedł historyczny dzień otwarcia warszawskiej Rady miejskiej. Stał się on nie tylko etapem w rozwoju życia narodowego Warszawy, ale przede wszystkim wyrazem najistotniejszych dążeń narodu polskiego, manifestacją jego praw do samodzielnego bytu państwowego. I tym razem Warszawa dowiodła, że godnie dzierży sztandar stolicy Polski, że z jarzma niewoli wyszła nie złamana, lecz odrodzona w ogniu nieustannej, krwawej walki o wolność...

Wybrana pod znakiem konsolidacji wszystkich stronnictw warszawska Rada miejska zebrała się po raz pierwszy w dniu 24 lipca w wielkiej sali kolumnowej Ratusza. Tuż pod lożą prezydenta zawieszono na ścianie portrety twórców Konstytucji Trzeciego Maja: Kollątaja, St. Małachowskiego, Ignacego Potockiego i Jana Dekerta.

Spieszącemu na posiedzenie Rady prezydentowi rektorowi Brudzińskiemu młodzież uniwersytecka i tłumy publiczności zgotowały przed bramą Ratusza gorącą owację. Tuż przed otwarciem posiedzenia zgłosił się do prezesa Rady rektora Brudzińskiego szef Departamentu wojskowego N. K. N. podpułkownik Władysław Sikorski, by w imieniu Legionów polskich złożyć Radzie na jego ręce serdeczne życzenia. „W imieniu Legionów — przemówił krótko podpułkownik Sikorski — jako zawiązku wojska polskiego przyszliśmy, Magnificencjo, tutaj, aby powitać i uczcić nową władzę samorządu. Widzimy w niej nie tylko reprezentację Stolicy polskiej, lecz zarazem i silną reprezentację dążeń państwowych polskich. Oczekujemy z ufnością jej działalności i pracy — pewni tego, że Rada historycznie swe zadanie spełnić potrafi. W tem przekonaniu składamy Jej gorące życzenia pomysłnego i chlubnego działania”.

Odpowiedź prezesa Rady brzmiała: Przejęty serdecznym uczuciem czci dla bohaterskich legionowych bojowników o wolność, dziękuję Ci Pułkowniku za przyniesione nam życzenia. Rad będę, gdy będę mógł — w co nie wątpię — na czele utworzonej dziś Rady miejskiej powitać Legiony, wkraczające jako wojsko polskie do wolnej naszej stolicy — Warszawy. Zechciejcie Panowie na dzisiejszą uroczystość zająć miejsca w mej łoży prezesowskiej!

W kilka minut później rozpoczęło się pierwsze uroczyste posiedzenie Rady miejskiej. Z uderzeniem godziny dwunastej pojawił się na estradzie prezydent miasta Warszawy książę Zdzisław Lubomirski, po przemówieniu którego prezes Rady, rektor Brudziński, otworzył posiedzenie, a w przemówieniu swem wyraził wiarę, że „znajdujemy się w przededniu niepodległości Polski”.

Po przemówieniu prezesa Brudzińskiego rozległa się burza oklasków. a radni, powstając z miejsc, wznoszą okrzyki: „Niech żyje Polska”...

Punktem kulminacyjnym tego historycznego posiedzenia była historyczna deklaracja, jaką odczytano imieniem wszystkich stronnictw i grup partyjnych. Deklaracja ta brzmiała, jak następuje:



Rocznica szóstego pułku Legionów: Korpus oficerski pierwszego batalionu.

„W chwili olbrzymiego napięcia wojny obecnej, która zwałała na naród polski brzemień klęsk materialnych, ale jednocześnie otworzyła przed nim widoki odbudowania własnego państwa, powołany

ważnej większości swojej w drodze dobrowolnego patriotycznego porozumienia się różnych kierunków politycznych polskich, składamy na pierwszym uroczystym zebraniu naszym następujące oświadczenie:

Do gospodarczej i kulturalnej działalności powołani, siły i umiejętności nasze ku temu wyteżymy, aby gospodarstwo i kulturę Warszawy w duchu narodowym i na podstawie równouprawnienia obywatelskiego podźwignąć, aby klęski i ciężary, jakie wojna miastu przyniosła i jeszcze przynieść może — złagodzić, przede wszystkim zaś, aby ludność pracującą, tak ciężko przez wojnę dotkniętą, materialnie i moralnie ratować. Te prace nasze pełnić będziemy w rozumieniu, że samorząd Warszawy jest pierwszym krokiem do odbudowy państwa polskiego. Niepodległe państwo polskie, wyposażone w organy i środki, niezależność jego wyrażające i zabezpieczające — oto cel najwyższy dawnych i obecnych wysiłków narodu polskiego. O to i nasz święty cel, do którego dążymy. W przekonaniu, że wojna obecna cel ten ziści, składamy hołd wiernym synom ojczyzny, którzy od półtora wieku przelewali i przelewają krew za wolność i niepodległość Polski”.

Podczas odczytywania deklaracji radni powstali z miejsc. Deklaracja przerywana była kilkakrotnie oklaskami i okrzykami.

Po słowach: ...„Składamy hołd wiernym synom ojczyzny, którzy od półtora wieku przelewali i przelewają krew za wolność i niepodległość Polski”, zerwały się burzliwe i długo trwające oklaski. Radni miejscy i cała publiczność zwróciła się w stronę łoży prezesowskiej, w której znajdowali się pułk. Sikorski wraz z adjutantem i jeden przypadkowo obecny w Warszawie Beliniak i wśród okrzyków „Niech żyją Legiony” urządzili głośną i wiele mówiącą manifestację.

* * *

Otrzymawszy w ostatniej chwili szereg zdjęć z otwarcia warszawskiej Rady miejskiej, podajemy w dzisiejszym numerze na tytułowej stronie fotografię, przedstawiającą powitanie prezesa Brudzińskiego przed bramą Ratusza. Resztę zdjęć z tego historycznego dnia w stolicy Polski zamieścimy w następnym numerze.



Rocznica szóstego pułku Legionów: Komendant podpułkownik Mieczysław Norwid.

został do życia samorząd stołeczny miasta Warszawy. Odczuwając powagę chwili historycznej, tak wielkie w narodzie budzącej nadzieje, my, pierwsza Rada miejska stolicy polskiej, utworzona w prze-



Rocznica szóstego pułku Legionów: Korpus oficerski drugiego batalionu.

Rocznica szóstego pułku Legionów.

W dniu 28 lipca roku bieżącego szósty pułk Legionów obchodził rocznicę swego powstania... Cóż znaczy w czasach zwykłych, w normalnym życiu pokojowym, tak krótki przeciąg czasu?... A dziś to karta historii, pełna bohaterskich wysiłków i dziejowych wydarzeń.

I roczny okres bojów szóstego pułku Legionów — to jasna karta w dziejach polskiego oręża i naszych walk o wolność. Uformowany rozkazem z dnia 28 lipca 1915 roku, szósty pułk składał się przeważnie z młodych rekrutów, Lwowian i ochotników z Królestwa Polskiego, którzy po sześciotygodniowych zaledwie ćwiczeniach wyruszyli na front i w odmeście bitewnym uczyli się rzemiosła żołnierskiego. Pomimo tak krótkiego przygotowania bohaterski zapal żołnierzy, kierowany wprawna ręką komendantów, potrafił przewyciężyć wszystkie trudności i odrazu okrył sławą tę najmłodszą formację bojową. Maniewice, Podczerewicze, Kostiuchnówka, Jabłonka, Kukła, Kopne, Kamieniucha, Góra Polaków, Op-

towa — oto chlubne karty w historii bohaterskich bojów szóstego pułku. Pod Kopnem w październiku 1915 roku pułk ten szedł do ataku pod górę na odległość 1200 kroków i rozbił trzy pułki rosyjskie, a w ostatnich, lipcowych walkach batalion drugi w piekielnym ogniu wykonywał brawurowe ataki na Górę Polaków...

Jak dzielny jest pułk — tak dzielny i jego komendant, podpułkownik Norwid — Ojawszy komendę z końcem października 1915 r. — stał się duszą swego pułku. — Świecił przykładem męstwa żołnierzom, a w chwilach krytycznych, jak na przykład w bitwie pod Kamieniuchą, zimną krwią i talentem potrafił wyprowadzić zwycięsko swe szeregi z największych niebezpieczeństw.

W czasie walk pozycyjnych podpułkownik Norwid przeprowadził wzorową organizację swego pułku, a okazał przytem ojcowską pieczołowitość o swych podkomendnych. Zorganizował w pułku kursy dla analfabetów, kursa sanitarne, wykłady historyczne, kursa podoficerskie, a troszczył się przytem i o rozrywki dla żołnierzy, starając się o książki i gazety i urządając najrozmaitsze zabawy. Podpułkownik Norwid zyskał też ogólną miłość wśród żołnierzy i oficerów szóstego pułku.

Rocznicę szóstego pułku podpułkownik Norwid upamiętnił rozkazem dziennym, w którym między innymi czytamy:

Żołnierze polscy! Męstwo ofiarne, wytrwałość i waleczność, ufność w powodzenie ukochanej Sprawy, za którą do ręki broni chwyciliśmy — wszystkie te cnoty żołnierza polskiego zajaśniały u Was pięknym, nigdy nie gasnącym blaskiem w bojach, stoczonych



Rocznica szóstego pułku Legionów: Podpułkownik Norwid w otoczeniu sztabu

rażnie wydanym rozkazem zniszczenia Legionów Polskich. Rozkaz rozbił się o bohaterską postawę i poświęcenie się Was — Legioniści.

Nie ma do sparowania krwawych i ciężkich uderzeń wroga przyczyniliście się Wy, żołnierze szóstego pułku piechoty legionowej. Batalionami rozrzućeni, byliście w ośrodku wszystkich, najwła-

podoficerów i żołnierzy drugiego batalionu, tych, których niema między nami i tych, którzy piekło walki przetrzymali i niewyszczerbioną bronią dzierżąc w swojej dłoni.

Podobnie podnoszę bohaterską wytrwałość batalionu pierwszego. Przez wroga oskrzydłony, w upartych zapasach pod Studziennicą, nie tylko trwał na



Komendant trzeciego batalionu kap. Tadeusz Jakubowski z adjutantem chor. M. Rettingerem



Warta przy siedzibie komendy pułkowej

4., 5., 6. i 7. lipca. Objawiliście je zarówno w zmu-dnej i uciążliwej walce okopowej, w czasie której gorące i uporczywe staczałyście walki o utrzymanie powierzonych Wam pozycji, jak i później, gdy przeobrzymia fala rosyjskiego żołdactwa runęła na front legionowy i gdy rozgorzała wielka, nierówna bitwa.

Dobrowolne wojska carskie uderzyły na nas z wy-

towniejszych walk, jakie Legionom stoczyć wypadło w ofiarnych dniach lipcowych. Najwięcej z Was ucierpieli, najpotworniejszy ogień huraganowy przebyli oficerowie i żołnierze batalionu drugiego. Piachy Góry Polaków, okopy lasu polskiego zrosiły się obficie ich waleczną krwią.

Z podziwem, czcią należną bohaterstwu i z najwyższym uznaniem wspominam wszystkich oficerów,

swem stanowisku, ale do kontrataków zrywał się, bez rozkazu, z własnego impetu i niepohamowanej waleczności. Kilka ataków piechoty i kawaleryi moskiewskiej wśród strasznych strat dla nieprzyjaciela odparł i cofnął się dopiero wtedy, gdy taki wydano rozkaz, gdy spełnione zostało zadanie.

Batalionowi trzeciemu dziękuję za pełne ofiary trwanie i odbicie wielu ataków w walce pozycyjnej, a specjalnie kompanii jedenastej i dwunastej, za szczęśliwe walki odwrotowe.

Ubyło wielu wpośród nas. Adjutant pułku porucznik hr. Łubieński, w batalionie drugim: komendant batalionu kapitan Nowakowski, komendant drugiego oddziału karabinów maszynowych bohaterski podporucznik Jan Henrico-Chodorowski, komendant kompanii podporucznik Zygmunt Szrednicki, komendanci plutonów: podporucznik Stypulski Czesław, chorążowie Hörł, Wiktor Kwarciański, Szmoniewski, Blahaczek, podchorąży Luranc; w batalionie pierwszym: komendant kompanii i zastępca komendanta batalionu, znany nam dobrze porucznik Wincenty Kominek-Lachowicz, komendant kompanii podporucznik Załuska, komendant plutonu podchorąży Liśkiewicz; w batalionie trzecim: chorążym Stawiarski — oto nazwiska tych oficerów, którzy w boju ranni, albo śmierć żołnierską na polu chwały znaleźli, albo w szpitalach goją swe dumne rany.

Wielu walecznych podoficerów i męźnych żołnierzy dopełniło listy szóstego pułku. Nazwiska Ich wszystkich pozostaną na zawsze między nami, wspominać Ich będziemy i chować w naszej pamięci, jako tych, którzy krew lub życie swe oddali Polsce w ofierze.

Nie mogą nie podnieść waleczności tych, którzy



Rocznica szóstego pułku Legionów: Orkiestra pułku z kapelmistrzem Sidorowiczem na czele



Rocznica szóstego pułku Legionów: Kancelarya pułkowa. W głębi adjutant pułkowy porucznik dr. Antoni Jakubski.



Rocznica szóstego pułku Legionów: Korpus oficerski trzeciego batalionu.

pozostali w naszych szeregach. Komendantowi batalionu porucznikowi Józefowi Giegielowi, dzielnemu i nieustraszonemu w boju adjutantowi podporucznikowi

Skrzyńskiemu, Jankowskiemu i Slizowskiemu — podchorążemu Drohojowskiemu, wszystkim oficerom pułku, podoficerom i żołnierzom wyrażam gorącą moją podziękę, za poświęcenia pełne spełnienie swoich obowiązków.

i tej Idei, która nas wszystkich ożywia, walce o Wolną Ojczyznę!

Mieczysław Norwid, podpułkownik.

* * *



Rocznica szóstego pułku Legionów: Komendant pierwszego batalionu major Galica z adjutantem podporucznikiem Józefem Relidzińskim.

Żołnierze Polscy! Krwią swoją i bagnietami swymi zapisaliście nową świetlaną kartę w dziejach szóstego pułku i całego wojska polskiego. Okazaliście się godnymi sztandaru, ofiarowanego nam przez stolicę Powstającej Polski — Warszawę. Do niewiedzących nigdy wawrzynów Wielkiej Przeszłości — dodaliście świeże, dni walki narodu polskiego o wolność i niepodległość wzbogaciliście w nowe, historyczne boje. W przeświadczeniu, że tylko Polscy służyliście — potrafiłiście utrzymać więzy organizacyjne, zachować ufność w komendę własną, tak wtedy — gdy trwaliście w ogniu huraganowym, jak i podczas odwrotu. Ani śladu dezorganizacji, upadku ducha lub niewiary w ostateczne zwycięstwo — nie było pośród Was. Za tego ducha Waszego, za tę wiarę w przyszłość Ojczyzny — w równej mierze, jak i za Wasze bohaterstwo — dziękuję Wam w imieniu naszej najświętszej sprawy. I dziś, w rocznicę utworzenia pułku, stwierdzić mogę, że dumny jestem, iż na czele takiego pułku stoję.

Po kilkudniowym zaledwie wytchnieniu — wezwani na nowe pozycje, których obrona wymaga wielkiej czujności i odwagi — pełnicie służbę swą nadal z całą ochotą.

Żołnierze polscy! Rok upłynął Wam w bojach na Polesiu. Od Kowla po Styr krwią swoją i mogiłami — znaczyliście drogę zwycięstw szóstego pułku. We wszystkich pamięci silnie są wryte dni walk i męstwem Waszym rozgłoszone nazwy Kostiuchnowki, Kołodzieji, Kamieniuchy, Podczerewicz, Cmin, Kukli, Jabłonki, Góry Polaków. Czekają nas gotowych nowe dni dalszych bojów, aż do pełnego zwycięstwa!

Pamiętajcie, że historia spogląda na Was i śledzi za każdym Waszym czynem. Dwudziestocztoremilionowy, zawsze pełen wiary w Swą wolną przyszłość naród — w Was złożył wszystkie swe nadzieje i od Was oczekuje wyzwolenia. Jestem przekonany, że jak dotąd, tak i na przyszłość — bohatersko i ofiarnie służyć będziecie pod wstawionym już przez Was sztandarem pułkowym — Polsce



Szlaktem bojowym Legionów: Brygadyer Piłsudski podczas walk lipcowych w opuszczonej dziś reducie swego imienia.

Z okazji rocznicy szóstego pułku zamieszczamy w dzisiejszym numerze szereg fotografii, a między innymi korpusy oficerskie z czasu przed ofensywą rosyjską. Wielu z tych oficerów, których widzimy na fotografiach, niema już w szeregach... Jedni padli bohaterską śmiercią, inni leczą się z ran po szpitalach.

kowi Stanisławowi Swistalskiemu, komendantom kompanii: porucznikom Popowiczowi, Lisiewiczowi, Ruckemannowi, Głowińskiemu — podporucznikom: Kam-skiemu, Bogaczewiczowi i Marszałkowi — chorążym:



Warsztaty rymarskie pułku.



Rocznica szóstego pułku Legionów.

Komendant drugiego batalionu por. Józef Giegel z adjutantem podpor. St. Świstalskim.

ADAM WIARYGA MINIESKI

Miłość i wojna

Powieść z dni ostatnich.

18

Pani Krystyna nie nudziła się jednak wcale. Walczak już wstawał i wprawdzie o kulach jeszcze, ale mógł już wychodzić na miasto. Pani Wolska towarzyszyła mu na spacerach, pokazywała Pragę i tonęła coraz głębiej w różowych marzeniach.

Wszak Walczak okazywał jej wyraźną sympatię i wielkie zainteresowanie.

Kazimierz, stosując się do wskazówek Anielki, usiłował panią Krystynę nsposobić jaknajzyczliwiej dla siebie, nie zdradzając się jeszcze. Wprawdzie to granie komedii niecierpliwilo go, męczyło i przeciwnie było jego energicznej, otwartej, szczerzej na turze, uległ jednak prośbom Anielki, która z lękiem wspominała ciągle nieprzejednane stanowisko ciotki względem „ślusarczyka“.

Pani Krystyna była teraz z Anielki zupełnie zadowolona.

Wesoła, śmiejąca się teraz dziewczyna nie irytowała już ciotki smutną, „melancholijną“ miną. No i nie wspominała o wyjeździe do Zalesinek, do których wysłano już nowego rządcę, młodego, zdolnego agronoma.

Jedna rzecz dziwiła panią Wolską.

Montwiłł się nie pokazywał. Pani Krystyna przypuszczała, że młodzi pogniwiali się i pewnego razu zagadnęła o to wprost siostrzenicę.

Anielka za całą odpowiedź roześmiała się. Żal jej było wprawdzie trochę Montwiłła, z wdzięcznością wspominała jego szlachetne i delikatne względem niej postępowanie, ale mówić już z nim nie mogła, bo Kazimierz zabronił jej stanowczo.

Po raz pierwszy przekonała się, że ten spokojny, poważny, panujący nad sobą Kazimierz umie jednak być gwałtownym i zazdrosnym.

Nie rozgniewała się tem wcale, przeciwnie, po dobało się jej to bardzo, bardzo... Rozumowała po kobiecemu: jeżeli taki zazdrosny, to widocznie bardzo kocha.

— Nie Anielko, dosyć już tego! Nie chcę grać dalej tej bezcelowej komedii! To mi ubliża poprostu! Chodziłem zawsze prostymi drogami i uważam, że są one najlepsze!

— Tak się boję... — szepnęła Anielka, podnosząc nieśmiało oczy na narzeczonego.

Siedzieli na ławce w parku w cienistej alei, gdzie teraz w porze przedpołudniowej prawie wcale nie było spacerowiczów.

— Czego się boisz? Przecież ciotka prędzej czy później dowiedzieć się musi, a im dłużej kryć się będziemy, tem więcej będzie miała powodów do gniewu. Zresztą zdaje mi się, że niepotrzebnie zrobiłaś sobie z ciotki straszaka... To kobieta wielkiej dobroci serca.

— O, ciocia jest bardzo dobra i kocha mnie — potwierdziła żywo Anielka — Tylko na pewnych punktach ma zakorzenione uprzedzenia.

— Więc trzeba te uprzedzenia zwalczać śmiało i szczerze. Przypuszczam, że w razie oporu ciotki, moja złota dziewczyna stanie otwarcie po mojej stronie! Gdyby było inaczej, przypuszczałbym, że chyba wstydzisz się twojej miłości...

— Ależ, Kaziu, jak możesz!...

— Zatem, zgoda, postanowione! Naprawimy dzisiaj błąd, który popełniliśmy, bo kwestyę trzeba było odrazu postawić jasno... No, ale ty się bałaś, Krzycki przekonywał, więc uległem... Dzisiaj powiesz, Anielko, ciotce o wszystkim i poprosisz ją o przyzwolenie, no i przebaczenie za tę komedię, którą odegraliśmy... A może chcesz, abym ja pierwszy przemówił?

— Sama nie wiem...

Nagle Anielka urwała... Zaczerwieniła się, zadrdzała i szepnęła do Kazimierza strwożona:

— Ciocia idzie...

Na zakręcie alei ukazała się pani Krystyna zaczerwieniona i zadyszana. Dzień był bowiem upalny.

Kiedy spostrzegła Anielkę i Walczaka, osłupiała ze zdumienia.

Jakto, Anielka tutaj sam na sam z nim? Co to znaczy?!

Pani Wolska sądziła, że Anielka jest o tej porze w „kuchni polskiej“, a tymczasem ona wymyka się na schadzkę z obcym człowiekiem.

To niewinne dziecko, ta kryształowo czysta dziewczyna zawiera potajemnie znajomości? I on!

On także oszukiwał mnie, może śmiali się, drwili ze mnie.

Błyskawice myśli krzyżowały się w umyśle pani Krystyny... Dziesiątki najgorszych przypuszczeń, podejrzeń przebiegały jej przez głowę.

Może te wszystkie dyżury, „kuchnia“, ochronka to tylko komedia, pretekst do schadzek. Tak, młoda dziewczyna, która już raz zaręczyła się wbrew woli opiekunki, a potem prowadziła potajemną korespondencję, jest do wszystkiego zdolna.

A tak niby kochała tego narzeczonego, tak rozpaczała po nim.

Któżby to dziecko posądził o tyle obłudy i przewrotności!

Boże, Boże!

Ale skąd oni się znają?!

Widocznie Anielka śledziła mnie podstępnie! Znalazła sposobność zawarcia znajomości i teraz prawdopodobnie wyśmiewa się z naiwnej ciotki...

— Czy to nie jakiś zły sen?!

Pani Krystyna powolnym, chwiejnym krokiem, mierząc spojrzeniem rozszerzonych źrenic to Walczaka, to siostrzenicę — zbliżała się.

Anielka zerwała się z ławki, Kazimierz powstał również, choć z pewnym trudem, opierając się na kulach.

— To państwo się znacie?... — wykrztusiła ze ściśniętego gardła pani Krystyna.

— Tak jest — odparł spokojnie Walczak — znamy się oddawna i dzisiaj właśnie chcieliśmy powiedzieć to szanownej pani i poprosić...

— Ciociu — wpadła mu w mowę Anielka — to mój narzeczone, to mój Kaziu... On nie zginął, to była pomyłka... Odnaleźliśmy się... Ciociu, ja jestem taka szczęśliwa!...

Pani Krystynie zawirowało wszystko przed oczyma... Co to znaczy?!

Czy Anielka oszalała?!

Jakby przez mgłę oddalenia słyszy głos siostrzenicy, która mówi, opowiada, tłumaczy, przeprosza... I pani Wolska zaczyna rozumieć.

Anielka nie oszalała, nie kłamię.

To tylko kapryśny przypadek zdrwił sobie z pani Krystyny...

A Kazimierz stoi spokojnie, wsparty na swoich kulach, milczy i czeka.

Wzburzonej kobiecie zdaje się, że czyta w jego oczach szyderstwo.

On pewnie domyślił się, przeniknął tajemnicę, którą obawiała się wyznać sama przed sobą.

Coś, jak zły poryw nienawiści do tych dwojga młodych, wstrząsnęło panią Krystynę.

Nie chce, nie może teraz im nic odpowiedzieć...

Nie patrzeć na nich, nie widzieć, uciec, uciec, jak najprędzej, zostać samą!...

Pani Wolska odwraca się i krokiem tak szybkim, jakby ją kto gonił, zaczyna się oddalać.

Anielka umilkła zdziwiona i wystraszona. Walczak poczerwieniał z gniewu. To dziwne, nieoczekiwane zachowanie się pani Wolskiej wytłomaczył sobie jako wyraźne lekceważenie.

Jakto, więc dumna pani nie uznała go nawet za godnego słowa odpowiedzi?...

Ha! widocznie Krzycki miał rację!

Miło to bawić się w samarytankę i dobrą królową, która w mniemaniu swoim raczy się łaskawie zniżyć do „gminu“ — jeżeli jednak ktoś nie z odpowiedniej „sfery“ ośmielił się pomyśleć o tem, aby wejść do rodziny, zbywa się go pogardliwym milczeniem.

Gdyby tutaj na jego miejscu był jakiś głupiec, trwoniący ojcowiznę na karty, wyścigi i hulanki, ale mogący się wykazać odpowiedniami „koligacjami“, zapewne inaczejby się pani Wolska zachowała!

W Kazimierzu zakipiał gniew obrażonej godności własnej.

Nie! nie pozwoli tak pomiatać sobą dlatego tylko, że ojciec jego był uczciwym, pracowitym robotnikiem!

Na usta jego cisnęły się ostre słowa pod adresem pani Krystyny i jej szlachecko-ziemiańskich przesądów, ale kiedy spojrzał na pobladałą twarz Anielki i oczy jej pełne łez, nie wypowiedział ich.

— Anielko, Anielko moja, nie płacz! Tem lepiej, że się to wyjaśniło...

— Ach! Kaziu, Kaziu!... Ja nic nie rozumiem. Prawda, że ciocia była przeciwna naszemu małżeństwu, ale jednak ona taka zawsze grzeczna dla wszystkich... I teraz, kiedy cię poznała, polubiła... Nie rozumiem, nie rozumiem, bo ciocia ma złote serce, wierzą mi.

Jasne krople łez oderwały się od ciemnych rzęs Anielki i spływały po jej policzkach.

— Kochanie moje, odwagi! Musimy wywalczyć nasze szczęście... Tylko już żadnych komedii, tajemnic, ukrywania się... Rozmówisz się dzisiaj z ciotką

stanowczo i jasno bez wykrętów, czy dobrze? Zechcesz to uczynić Anielko? Powiedz!

— Dobrze, Kaziu!

Anielka trwożliwie wsunęła się do mieszkania. Zapytała służącą, czy pani w domu i dowiedziała się, że ciotka zamknęła się w swoim pokoju.

Cichutko podeszła pod drzwi pokoju pani Krystyny. Zatrzymała się, wahając się. Wejść czy nie wejść?...

Zaczęła nasłuchiwać.

Cicho.

Serce biło dziewczynie trwogą na myśl o rozmowie, jaka ją czekała.

Anielka postąpiła krok ku drzwiom i cofnęła się znowu. Nie miała odwagi zapukać.

Pani Krystyna walczyła, zmagala się sama ze sobą.

Pierwszym odruchem jej duszy był szalony gniew na Walczaka i Anielkę.

Postanowiła za wszelką cenę nie dopuścić do tego małżeństwa, wywieźć Anielkę, przerwać ten „głupi romans“.

Powoli jednak uspokajała się, łagodniała.

Zadała sobie pytanie, dlaczego ma to być „głupi romans“?... Czy dlatego, że Anielka wybrała tego, którego i ona...

Wstyd, palący wstyd!

Zawstydzila się pani Krystyna i marzeń tych tajemnych, któremi się ludziła i egoizmu swojego i wszystkich tych złych uczuć, jakie nią przed chwilą miotaly.

Wstyd... wstyd... Jak szesnastoletnia panienka...

W tym wieku!... Boć przecież ma już lat... Ile ma lat, tego pani Krystyna nawet sama przed sobą powtarzać nie lubi.

I to przecież Anielka... Anielka, którą jak córkę kochała...

Myśl pani Krystyny biegnie wstecz, w dawno ubiegłe chwile.

I widzi błąd, wychudłą, znękaną cierpieniem twarz ukochanej siostry, która umiera... Stygnącemi ustami szepce umierająca:

— Weź Anielkę, zaopiekuj się, kochaj sierotę!

Tak biała, że niemal przejrzystą ręką wskazuje na śliczną pięcioletnią dziewczynkę o gwiazdzistych, szafirowych oczach i ciemnych lokach. Dziecko, skulone przy łóżku, spogląda wylekzionym wzrokiem, nie rozumiejąc, dlaczego mama taka biała i dlaczego ciocia płacze?...

Pani Krystynie zda się, że słyszy swój własny głos:

— Przysięgam, że jak własne dziecko ją wychowam, jak rodzone, jak córkę kochać będę!

Jak rodzoną córkę!... Czy dotrzymała tego przyrzeczenia, tej świętej przysięgi, złożonej umierającej?...

Wszak dla niemądrych uprzedzeń zatrula jej pierwszą radość życia, cień smutku rzuciła na promienną, wiosnianą radość, burzyła pierwszą miłość dziewczęcia, a teraz zazdrości jej szczęścia, które się jej uśmiechnęło po tylu dniach smutku, po tylu dniach żałoby!

Ona kocha naprawdę... Czyż można go nie kochać?...

Ból ostry, szarpiący ból uczuła pani Krystyna gdzieś koło serca.

Ale przemogła się, zapanowała nad sobą.

Jakto!... Ona miałaby zazdrościć Anielce, wydierać jej szczęście, walczyć z nią, walczyć... o mężczyznę?!

Nie, nigdy!

To dobre dla bohaterki powieści Zoli i Maupasanta, ale nie dla niej!

Siłą reakcji ogarnia panią Krystynę bezmierna tklliwość dla Anielki.

Biedne dziecko! Ileż ona przecierpiała!...

I czyż można czynić jej zarzut z tego, że postępowała nieszczerze, że się ukrywała?...

Wszak tylekroć słyszała, że ciotka pod żadnym warunkiem nie zezwoli na małżeństwo ze „ślusarczykiem“, którego nawet poznać nie chciała...

Ale dość już tego! Trzeba to zakończyć.

Niech się pobiorą prędko! Jak najprędzej!...

Pani Krystyna czuje gwałtowną chęć, aby zaraz wypowiedzieć to swoje postanowienie.

• Ale gdzie jest Anielka?...

Czy już powróciła?...

Co ona pomyślała sobie o tem dziwnem zachowaniu się ciotki... A on?...

Pani Wolska otwiera drzwi i spostrzega Anielkę, która stoi nieśmiała, niepewna, lekliwa.

— Anielko!

— Ciociu, ciotuniu najdroższa!... Bóg mi go cu

dem wrócił!... Ty zezwolisz, prawda, nie będziesz się sprzeciwiała?! Ciociu!...

— Nie, dziecino moja, nie będę stawiała przeszkód twojemu szczęściu! — szepcze pani Krystyna, pociągając Anielkę do siebie — Poznałam go, on godny ciebie... Kochacie się, więc bądźcie szczęśliwi...

— O, ciociu, jakaś ty dobra! A ja myślałam... my...

— A tak!... Dziwnie trochę zachowałam się w parku, ale to była taka niespodzianka... Nie mogłam sobie zdać sprawy... A on może się obraził... Przepróż go w moim imieniu i poprosz, aby przyszedł do nas... Przywitam go jak syna...

Na ciemne włosy dziewczyny, tulącej się w ramionach ciotki, zaczynają padać łzy, łzy dobrej ciotki, łzy serdeczne.

Pani Krystyna sama nie wie, dlaczego płacze, czy z radości nad szczęściem Anielki, czy z żalu nad czemś, co się rozwiło i nie wróci.

Józia Maliniewiczówna biegnie zadyszana ulicą Hyberską. W rękę trzyma wielką wiązaną różnobarwnych goździków. Spieszy się tak, że po drodze roztrąca przechodniów, a drobne kropelki potu występują na jej zaróżowionej twarzy.

— Dokąd pani tak spieszy, panno Józiu? — pomyślała za sobą głos.

Odwrociła się i zobaczyła Montwiłła.

— O! Niech mnie pan nie zatrzymuje, albo niech pan biegnie razem ze mną! Pędzę na kolej, pani Wolska i Anielka wyjeżdżają... Jedzie z nimi narzeczony Anielki, ten, co to wie pan, zginął, a później się odnalazł... Anielka taka szczęśliwa... On dostał kilkumiesięczny urlop, a potem to pewnie będzie superarbitrowany, bo jedną nogę to już będzie miał sztywną! — trzepota Józia, nie zwracając uwagi na dziwny wyraz twarzy swego towarzysza.

— Chcę Anielce zanieść parę kwiatków, pożegnać się z nią i poprosić ją, aby napisała do mego tatusia... Wiem, że Anielka bardzo podobała się tatusiowi, więc może jej uda się skłonić go, aby nas nareszcie zabrał z tej Pragi... Bo jak nie, to piechotę ucieknę do Krakowa!

Zdziwiona trochę, że Montwiłł nic nie odpowiada, spojrzała na niego.

— O! jaki pan błąd! Co się panu stało?! Czy pan chory?!

— Tak!... Głowa mnie boli trochę... Nie będę pani dłużej zatrzymywał! Dowidzenia, panno Józiu!

— Jakto, nie pójdzie pan ze mną na kolej?!

Montwiłł zawahał się... Zatarła nim pokusa, aby raz jeszcze zobaczyć Anielkę, choćby obok tam-

tego... Ale przewycięzył się, zrozumiał, że mógłby odegrać rolę intruza...

— Niech pani będzie tak dobra i pożegna w moim imieniu panią Wolską i pannę A...nie!...

Ostatnie słowa Montwiłł wypowiedział z wyraźnym wysiłkiem.

Józia spoglądała przez chwilę za nim i kiwnęła kilka razy smętnie główką, jakby chcąc powiedzieć: rozumiem!

Na dworcu kolejowym „Statni nadraži“ wrzał niezwykle ruch.

Wszystkie poczekalnie, wszystkie przejścia zajęte były pasażerami.

Piętrzyły się stosy przeróżnych pakunków, kufków, pudeł, tobołów najrozmaitszego kształtu i wyglądu.

To wychodzący z Galicyi gromadnie wracali do swoich siedzib, z których wygnała ich wojna.

— Moja pani — opowiadała swojej sąsiadce mizerna, szczupła kobiecina w niemodnej czarnej sukni i kapeluszu, który nosił ślady kilkakrotnego prze-rabiania — co ja też tam w domu zastanę?... Gołą ziemię i tyle... Bo to my mamy małe folwarczki... Małe, bo małe, ale nieźle był zagospodarowane... A teraz mąż mi pisze, że dom spalony, narzędzi niema, bydła niema, konie Moskale zabrali... Kiedy my się tego dorobimy znowu, kiedy!...

Końcem palca otarła łzę, która wytrysnęła jej z pod żółtkiej powieki.

— Jakoś to będzie — pocieszała ją sąsiadka — będzie przecież jakaś pomoc, będą zapomogi, odszkodowania...

— E! Ktoby się tam na to oglądał... Czego człowiek własnymi rękami nie zrobi, tego mu nikt nie da... A tu jest żywić kogo, patrz pani, tyle tych robaków...

I wskazała na liczną gromadkę otaczających ją dzieci.

— A najstarszy w Legionach... Szesnaście lat ma dopiero, ale uparł się: „Pójdę mamusiu, pójdę, bo to za Polskę“... O mój Boże! Żeby to chociaż za tę krew...

Nie dokończyła swojej myśli, może zbrakło jej słów do wypowiedzenia czegoś, co głęboko czuła.

— A skąd to jedziecie? — zwróciła się po chwili owa właścicielka zniszczonego folwarku do siedzącej obok niej kobiety wiejskiej.

— Z baraków — brzmiała krótka odpowiedź.

— Sama jesteście?

— Oj! Nie sama ja jechałam, ale sama wracam... Troje dzieci zawiozłam...

— I gdzież wasze dzieci?...

— Zostały tam, pochowałam... — odparła dziwnie twardym głosem wieśniaczka. Rysy jej twarzy ani drgnęły, jakby stężała w bólu.

— Jezus, Marya! — jęknęła właścicielka folwarku, przerażonym wzrokiem ogarniając swoją dźwiatwę — takie nieszczęście...

Oczy jej znowu zasłyły łzami, rozumiała to cierpienie matki i współczuła mu całym sercem...

Tuż obok pilnowała swoich pakunków rodzina wieśniacza w malowniczych strojach krakowskich. Był mąż, chłop o poważnej, inteligentnej twarzy, młoda żona, typ krakowskiej piękności wiejskiej, dwoje dzieci i stara, zgrzybiała już niemal kobieta.

Nagle staruszka podniosła do oczu fartuch i zaczęła głośno płakać.

— Mamusiu, a czegoż wy płaczecie? — zapytała młoda — Dyc już złe minęło, na swoje śmieci wracamy.

— A dyc z radości płacę, z radości! — wyszłała stara chłopka — O! Jezu mój! Dziękuję Ci, żeś mi tego dnia dożyć pozwolił... A dyc ja już myślałam, że swoje kości na tej cudzej ziemi zostawię...

Kiedy Józia przybiegła na dworzec, zaczęła szukać pani Wolskiej i Anielki. W poczekalni pierwszej klasy znalazła panią Krystynę, od której dowiedziała się, że Anielka z Walczakiem są zajęci ekspedycją bagażów. Z trudem przecisnęła się przez tłum i nareszcie zdołała odszukać Anielkę.

Obok panny Zurakowskiej stał stary Gilewski z rozpromienioną twarzą, wyprostowany, jakby odmłodzony.

— Dostałem pozwolenie! Jadę! Jadę! — wołał, wymachując w powietrzu tekturowym pudłem, dość luźno związanym sznurkami.

— Jedziemy! Jedziemy! — wtórował mu radośnie jakiś żyd w długim chałacie.

Pociąg mijał galicyjską granicę. Okolica monotonna, płaska, szara, fabryczna. A jednak na jej widok uderzyły mocniej serca.

— Wiecie — rzekła Anielka, zwracając się do ciotki i narzeczonego — kiedyś jeden ze znajomych naszych, który wiele lat mieszkał we Francji, opowiadał mi, że kiedy powracał do kraju, całował ziemię na granicy... Wydawało mi się to przesadzonym, dzisiaj go rozumiem...

K O N I E C.



Śluzkiem bojowym Legionów: Pierwsza bateria artylerii na pozycji. Na prawo oficerowie z komendantem por. Boldem obliczają kierunek i elewację.

(Fot. T. Zwoliński)

Zgon dziennikarza.

Nieubłagana śmierć wyrwała nową ofiarę z szczyplej garstki dziennikarzy krakowskich. W Krakowie zmarł po dłuższej chorobie, w czterdziestym pierwszym roku życia, ś. p. Konrad Rakowski, przez szereg lat współpracownik „Czasu”, znany i ceniony krytyk teatralny i literacki, związany żywo w ciągu ostatnich kilkunastu lat z ruchem umysłowym i artystycznym naszego miasta.

Urodzony w Trzemesznie w Królestwie Polskiem, w majątku swoich rodziców, po ukończeniu szkół średnich w Chyrowie wstąpił na wydział filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie poświęcił się



Zgon dziennikarza: S. p. Konrad Rakowski.

studjom historyczno-literackim. Niebawem wszedł do koła literatów i poetów, tworzących tak zwaną „Młodą Polskę”.

Z młodzieńczym zapalem wziął udział w wydawnictwie „Życie”, które przez pewien czas było ogniskiem nowych prądów i poglądów w literaturze i krytyce. Ten okres jego życia odbił się na jego



Szlakiem bojowym Legionów: Przekop 13 metrów głęboki, wykopany w reducie Piłsudskiego w celu udaremnienia rosyjskich robót podkopowych.

dalszym rozwoju umysłowym i sformował jego literacko-filozoficzne poglądy. Po wstąpieniu do redakcji „Głosu narodu”, pracował w dziale krytyki literackiej, zwracając na siebie ogólną uwagę świeżością sądów i trafnym ich ujęciem. Przeszedłszy do redakcji „Czasu”, objął dział sprawozdań teatralnych i rubrykę tę prowadził przez szereg lat z wielkim zamiłowaniem teatru.

W ogólności należał do szczerých miłośników sceny, a nowszą zwłaszcza literaturę dramatyczną wszystkich kulturalnych narodów Europy poznał gruntownie i dokładnie. Pozwoliło mu to obracać się w sferze krytyki teatralnej z tą swobodą, którą daje prawdziwe znawstwo. W sądach swoich był wstrzeźliwy i wyrozumiały i raczej skłonny do optymizmu; umiał jednak zawsze wyróżnić dzieło talentu i oddać mu należną sprawiedliwość. Dużo czasu poświęcał przekładom z obcych języków, które odznaczały się wiernością, czystością języka i wy-

twornością stylu, a w ostatnich latach przed wojną przyswoił literaturze polskiej głośne historyczne powieści Mereżkowskiego.

Na ś. p. Rakowskiego, jak na wielu jego zawodowych kolegów oddziaływała silnie wojna, która jego zdrowiu i siłom zadała cios ostatni.

Nowe sądownictwo w Królestwie Polskiem.

Z nastaniem wojny sądownictwo w Królestwie Polskiem przestało funkcjonować na skutek zarządzeń władz rosyjskich. Po upływie roku w miarę tworzenia przez austriackie władze okupacyjne komend obwodowych, reaktywowano wszystkie sądy.

W pińczowskim powiecie sądy rozpoczęły swoje czynności w dniu 15 lipca 1915.

Drugą instancją dla sądów gminnych był sąd



Nowe sądownictwo w Królestwie Polskiem: Zjazd sędziów pokoju w Pińczowie (X) Komendant obwodu pułkownik Dobiecki.

przy obwodowej komendzie, najpierw w Działoszycach, a później w Pińczowie. Aby przywrócić zasadę autonomiczną sądów niższych, naczelna komenda rozporządzeniem z dnia 9 czerwca b. r. poleciła powołać do życia zjazd sędziów pokoju i taki pierwszy zjazd odbył się w Pińczowie w rocznicę reaktywowania sądownictwa.

Uroczystość tę poprzedziła msza w kościele pa-

Odsłonięcie pamiątkowej tarczy na Woli Justowskiej.

W ubiegły czwartek odbyło się w ogrodzie dawnego pałacu książąt Czartoryskich na Woli Justowskiej, dziś zamienionego na szpital, odsłonięcie pamiątkowej tarczy i wbijanie do niej gwoździ na dochód Stowarzyszenia „Czerwonego Krzyża“.

Rozpoczęło się wbijanie gwoździ honorowych i wpisywanie nazwisk do pamiątkowej księgi. Uroczystość zakończyło podziękowanie dra Schmieda, skierowane pod adresem uczestników.

Tarcza przedstawia się imponująco. Środek jej zajmuje oznaka „Czerwonego Krzyża“, otoczona wieńcem laurowym, powyżej widnieje napis: K. u. k. Bezirks Marodenhaus Krakau III. 1914 - 1916.



Goście wpisują swe nazwiska do księgi pamiątkowej. (X) Dr. Schmied (komendant szpitala), (XX) major Klestil, (XXX) kapitan Schimak.



Obok tarczy stoją: generał Gąsiek (X), komendant szpitala dr. Schmied (XX), kapitan Ritschel (XXX)

rafialnym, poczem udali się wszyscy do nderokowanej sali rozpraw sądu obwodowego, gdzie komendant obwodu, pułkownik Dobiecki, w bardzo serdecznych słowach powitał uczestników zjazdu, życząc owocnej pracy dla dobra społeczeństwa i kraju. Nastąpiło potem przemówienie przewodniczącego zjazdu i krótki wykład sędziego Scholza o potrzebie zainteresowania się wszystkich czynników i całego społeczeństwa sprawami pupilarnymi.

Komendant obwodu zaprosił następnie wszystkich członków zjazdu na wspólny obiad, w czasie którego było kilka przemówień na temat wzajemnej wspólnej pracy nad odrodzeniem kraju. Po obiedzie, dla upamiętnienia tego historycznego w pińczowskim sądzie dnia, odbyła się wspólna fotografia.

Przy sprzyjającej pogodzie zebrało się w pięknym wolskim parku wiele osób, przeważnie ze świata wojskowego, między innymi generał Gąsiek, żona szefa sztabu twierdzy pani Grimm, major Geyer i t. d.

Na tarasie pałacu ustawiono w otoczeniu kwiatów tarczę pamiątkową. — Podstawę jej pokryto czarno-żółtą materyą z inicjałami Cesarza, przed nią widniał piękny portret monarchy w wypukłej rzeźbie, ofiarowany siedemnastemu pułkowi obrony krajowej przez artystę malarza Aleksandra Rothauga.

Pierwszy przemówił kierownik szpitala, dr. Józef Schmied, witając zgromadzonych, w szczególności zaś generała Gąsieckiego, który odpowiedział w serdecznych słowach zakończonych okrzykiem na cześć Cesarza, poczem dokonał aktu odsłonięcia tarczy.

Inicytatorami i aranżerami pięknej uroczystości byli służący w siedemnastym pułku obrony krajowej kadeci-aspiranci: znany wiedeński artysta malarz Aleksander Rothaug, dziennikarz i publicysta Ryszard Watzlawek oraz plutonowy Wilhelm Kristin, nauczyciel.

Z żałobnej karty Legionów.

Ostatnie walki okryły nową sławą Legiony, ale i nowe usypały mogiły. W długim spisie bohaterów, co w tych walkach z napierającą nawałą rosyjską życie złożyli w ofierze, wymienić należy przede wszystkim ś. p. Tadeusza Wyrwę Furgalskiego,



Odsłonięcie pamiątkowej tarczy na Woli Justowskiej: Przemówienie (X) generała Gąsieckiego. (XX) Matłonka szefa sztabu twierdzy, p. Grimm

majora I brygady Legionów, jednego z najdzielniejszych oficerów legionowych, który padł w pierwszej połowie lipca, w walkach na Wołyniu.

S. p. major Furgalski pochodził z Leżajska, gdzie ojciec jego był notaryuszem. Ukończył wydział filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego, na którym studiował nauki przyrodnicze, w szczególności geo-



Z szóstobnoy karty Legionów: S. p. major Wyrwa-Furgalski.

logię, poczem został asystentem przy katedrze geologii, rokując piękną przyszłość naukową.

Ze sztuką wojenną zapoznał się w roku 1911/12, pełniąc służbę wojskową, jako jednoroczny ochotnik (kadet aspirant przy 16 pułku piechoty obrony krajowej w Krakowie). Egzamin oficerski zdał z celu-



Odstonięcie pamiątkowej tarczy na Woli Jostowskiej: Uczestnicy uroczystości po odstąpieniu tarczy. General Gąsiek (X) rozmawia z wiedeńskim dziennikarzem porucznikiem Englem.

jącym postępem, jako najzdolniejszy uczeń szkoły jednorocznych, to też generał przed frontem wyraził mu pochwałę korpusną i prosił go, by pozostał na stałe przy armii. Furgalski jednak odmówił.

Nauki wojskowe pogłębiał dalej jako jeden z najbardziej czynnych oficerów krakowskiego „Strzelca”. W „Strzelcu” miał pseudonim „Wyrwa”, który też charakteryzował jego naturę. Z wybuchem wojny na skutek starań organizacji strzeleckiej, władze wojskowe zezwoliły mu na pozostanie w „Strzelcu”.

Z początkiem wojny wyruszywszy w pole, od razu dał się poznać jako dzielny, o nieustraszonem męstwie oficer, który stał się ulubieńcem całej brygady. Każda niemal bitwa dwuletniej kampanii Legionów przynosiła nowe laury majorowi Wyrwie. Obrona Winiar, marsz na Warszawę, dwutygodniowa zacięta obrona Pilicy i Bud Michałowskich, walka pod Krzywopłotami i cały szereg dalszych bitew

i walk zapisały trwale imię Wyrwy-Furgalskiego w dziejach polskiego oręża i zjednały mu niezwykłą popularność i miłość wśród Legionistów, dla których był on wzorem zapału, bohaterstwa i miłości ojczyzny.

W ostatnich walkach (w dniu 5-go lipca pod Kostiuchnowką) poległ również ś. p. Jan Hajec, porucznik piątego pułku Legionów polskich, komendant drugiej kompanii.

S. p. porucznik Hajec urodził się w roku 1891 w Książnicach, powiat Mielec. Zwolniony z armii austriackiej, wstąpił jako ochotnik zaraz z wybuchem wojny do Legionów polskich i poprowadził oddział nowotarski, z którym walczył aż do ostatniej chwili, biorąc udział we wszystkich walkach. Został on odznaczony pruskim krzyżem za zdobycie baterii rosyjskiej.

Z pośród długiej listy poległych na polu chwały Legionistów zamieszczamy nadto w dzisiejszym nu-



Z polskich pobojoiwisk: Ulica Kościuszki w Gorlicach.



Ze szkolnictwa polskiego w Kielcach: Uczniowie szkoły ludowej podczas nauki ogrodnictwa (X) Nauczyciel ogrodnictwa p. Paweł Bartoszewski. (XX) Kierownik szkoły p. M. Łobkowski

merze fotografię s. p. porucznika Józefa Janickiego, który zginął bohaterską śmiercią w ostatnich walkach pod Kostiuchnowką.

Dawniej a dziś.

Okazuje się, że klęski i niepowodzenia mają niekiedy i dodatnie znaczenie, bo uczą rozumu, choć po

szła wreszcie wojna i wypędziła Rosyan z Polski... Odrazu nastąpiła też metamorfoza i w polityce rosyjskiej... Teraz właśnie Rosya pragnie uszczęśliwić Królestwo Polskie autonomią! Teraz — gdy z tego Królestwa musiała ustąpić!

Hojność Rosyi wobec Polaków wzrasta w stosunku do jej klęsk i niepowodzeń. Po wyparciu Rosyan z Królestwa Polskiego zaczęły się nawet spóźnione czułości wobec „bratniego narodu polskiego“... Charakterystyczne światło na tę zmianę nastrojów rosyjskich rzuca zamieszczona w dzisiejszym numerze odznaka, jaką sprzedawano na rzecz wychodźców Polaków podczas „dnia polskiego“ w Moskwie. Na jednej stronie widzimy Orła Białego z podpisem „Herb Polski“, a na drugiej znajduje się napis: „Z otwartem sercem, z wyciągniętą po bratersku ręką wychodzi na Wasze spotkanie Wielka Rosya“...

Zmieniają się czasy... Dawniej dokonywano w Warszawie aresztowań za takie „zbrodnie“, jak posiadanie Białego Orzełka w krawacie lub przy dewizce — dziś w Moskwie publicznie podczas „dnia polskiego“ sprzedają Rosyanie „Gierb Polski“... A czynią to dlatego, że wygnano już ich z Polski...

Ze szkolnictwa polskiego w Kielcach.

Aby dać możność dziatwie szkolnej nie tylko ćwiczyć umysł i ducha, lecz także i ciało w myśl maksymy: „w zdrowym ciele zdrowa dusza“, inspektor obwodu kieleckiego, profesor Jan Kamiński, wprowadził obowiązkową naukę ogrodnictwa w starszych klasach szkół ludowych miasta Kielc. Działwa ocho-

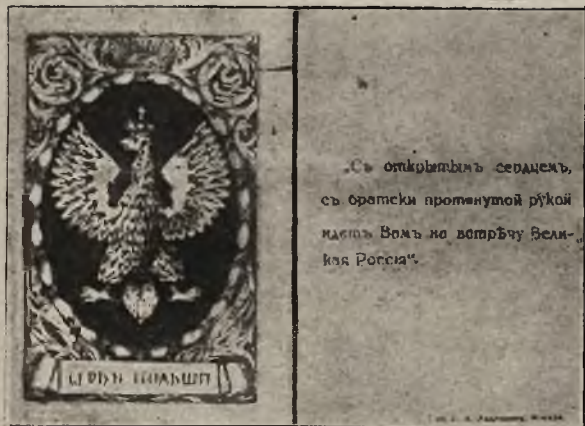
czo też spieszy na zajęcia praktyczne, gdzie pod dozorem i kierunkiem swych nauczycieli zapoznaje się z uprawą ziemi i kulturą roślin warzywnych, z zamiłowaniem oddając się tym pożytecznym, a tak przyjemnym i zdrowym zajęciom, by w przyszłości ze



Z żalobnej karty Legionów: S. p. por. Józef Janicki

znajomością i pożytkiem pracować na własnym zagonie ojczystym.

Aby nauka ogrodnictwa wydała możliwie najpożytniejsze wyniki, inspektor Kamiński rozpoczął starania około założenia przy szkole wzorowego ogrodu, który niemalże przyczyni się i do ozdoby miasta. Do prowadzenia nauki ogrodnictwa, tak wykładów, jako też i praktycznych zajęć, powołany



Dawniej a dziś: Odznaki sprzedawane na rzecz Polaków-wychodźców podczas „dnia polskiego“ w Moskwie.

niewczasie. Wymownym tego przykładem jest polityka rosyjska w stosunku do Polaków... Tyle lat rządili Rosyanie w Polsce, ale „bratnie ich serca“ przynosiły nam tylko niewolę, knuty i Sybir... Przy-



Ze szkolnictwa polskiego w Kielcach: Uczennice szkoły ludowej podczas nauki ogrodnictwa (X) Nauczyciel ogrodnictwa p. Paweł Bartoszewski. (XX) Kierowniczka szkoły p. Zofia Turowska



Z żalobnej karty Legionów: S. p. porucznik Jan Hajec, komendant drugiej kompanii piątego pułku.

został był instruktorem ogrodnictwa przy Warszawskim Towarzystwie Ogrodniczym p. P. Bartoszewski. Za podjęte trudy około rozwoju szkolnictwa, jako też za wprowadzenie tej inowacyi, która wpłynęła dodatnio na podniesienie kultury naszej, należą się inspektorowi Kamińskiemu gorące słowa uznania.

GEORGES MEIRS.

Tajemnica indyjskiego pierścienia.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

Skradziony trup.

Leżałem od kilku dni chory i zmuszony byłem prosić mojego sekretarza, aby mi przyniósł do domu akta paru spraw, które przejrzeć chciałem.

Przeglądałem, znudzony trochę, notatki różne i liczne, zebrane od lat paru przezemnie, tyżące się śledztwa policyjnego mojego przyjaciela, Wiliama Tharpsa. Był to znany i ceniony detektyw angielski.

Prawie w tych wszystkich sprawach jego brałem udział i każda z tych kartek, trzymanyh przezemnie w ręce, budziła we mnie dawne wspomnienia. I znowu raz jeszcze przeżywałem te chwile wzruszające i tragiczne i myśl moja wskrzeszała na nowo różnorodne, ciekawe okoliczności i wypadki, towarzyszące śledztwu mojego przyjaciela.

Akta, które miałem w rękach, zawierały notatki sprawy najciekawszej, którą zajął się Wiliam Tharps i której poświęcił wiele pracy i cierpliwości.

Przeczytawszy je jeszcze raz dokładnie, postanowiłem zaznajomić z nią czytelników moich, nie chcąc, aby genialna działalność Wiliama Tharpsa została im obcą.

Było to w październiku 1913 roku.

W czasie tym, w Saint Mandé, na wschód od Paryża, znajdował się pensjonat familijny, administrowany przez panią Donay, wdowę po wyższym oficerze.

Pani Donay nie miała dzieci i za namową wuja, przy pomocy małego kapitaliku otworzyła to przedsiębiorstwo, które z każdym miesiącem rozwijało się pomyślniej.

Była to kobieta trzydziestopięcioletnia, wysoka, zgrabna, ubrana zawsze z wyszukaną prostotą i wytwornością. Twarz jej pogodną i świeżą oceniały gęste, czarne włosy, niewiele różniące się odcieniem od wielkich, wyrazistych oczu. — Kilkakrotnie od śmierci jej męża ubiegano się o jej rękę, ale pani Donay bezwzględnie odmawiała wszystkim swoim pretendantom. Czła się zupełnie szczęśliwą i spokojną w swoim pensyonacie, wzorowo prowadzonym i nie marzyła wcale o innym życiu.

Budynek, w którym mieścił się pensjonat, znajdował się w głębi dużego ogrodu, którego główna brama wychodziła na ulicę Daumesnil. Wzniesiony był na kształt długiego, dwupiętrowego hotelu, do którego prowadziły przez taras szerokie, marmurowe schody.

Pani Donay urządziła prywatne swoje mieszkanie w połowie lewej pierwszej piętra. Był tam salonik, dwa sypialne pokoje i buduar z łazienką.

Drugą część piętra, prawie całą, zajmował wuj jej, pułkownik de Ricotte.

Pan de Ricotte spensjonował się przedwcześnie z powodu wypadku, jakiemu uległ spadłszy z konia i po którym pozostało mu lekkie zeszywnienie prawej nogi.

Pułkownik był wdowcem i posiadał dosyć znaczny majątek. Kiedy pani Donay, idąc za jego radą, otworzyła pensjonat, stał się jej stałym gościem i opiekunem. Pomiedzy pensjonariuszami wyrobił sobie szacunek i uważany był za głowę domu, do którego zwracano się z każdą ważniejszą potrzebą.

W salonie ubiegano się o jego towarzystwo i słuchano z upodobaniem jego opowiadań z licznie odbytych podróży, a służba wykonywała jego rozkazy z całym posłuszeństwem i gorliwością.

Pensjonat „Donay“ rozwijał się w warunkach bardzo pomyślnych. Położony był w lasku Vincennes, w powietrzu czystym i zdrowym i okolicy bardzo malowniczej.

Kuchnia w nim była wybredna, komfort niecodzienny, służba zręczna i wyszkolona. Dyskretna reklama dostarczyła pierwszych gości, następni napływali w takiej obfitości, iż pani Donay zmuszona była niejednokrotnie odmawiać zamówieniom.

W czasie, w którym w pensyonacie „Donay“ wydarzył się tragiczny i wstrząsający wypadek, omawiany długo w najdalszej okolicy, między stałymi gośćmi zakładu przeważali cudzoziemcy. Było tam kilka starych dam, rentierek, studentów, kształcących się w Paryżu, paru profesorów i uczonych, artystów i malarzy.

Od czasu do czasu młodzież za pozwoleniem pani Donay urządzała wieczorki tańczące lub kon-

certy i w te dni dla starszych osób przygotowany był stół do bridge'a w przyległym gabinecie.

Pomiedzy wszystkimi gośćmi panowała harmonia najzupełniejsza, gdyż po większej części byli tu ludzie, pragnący spokoju i wypoczynku.

Personal służbowy składał się z lokaja, trzech pokojowych, kucharki i kobiety do posług, której mąż był ogrodnikiem.

I oto jednego dnia ciche życie pensjonatu pani Donay zostało poruszone do głębi wstrząsającym dramatem.

Od tygodnia już mniej więcej przybył nowy gość. Był to pan d'Orwald, wysoki, elegancki, młody człowiek o sympatycznej bardzo powierzchowności.

Wszyscy w pensyonacie przyjęli go jak najżyczliwiej, a nawet pułkownik Ricotte, surowy i bardzo wymagający, polubił go szczególnie i chętnie szukał jego towarzystwa.

Wiadomość, udzielona przez panią Donay, że nowoprzybyły jest muzykiem i poetą zarazem, wywołała entuzjazm ogólny. Pan d'Orwald należał do bogatej i znanej rodziny i przedstawiony został pani Donay przez hrabiego de Montgomery, dawnego koleżę jej męża. O rodzinie swojej nie mówił nigdy, wspominał raz tylko, że rodziców stracił w wczesnym bardzo dzieciństwie i smutek i nerwowość, jaką niekiedy okazywał, brano na karb smutnych wspomnień z lat młodych. A gdy raz, w chwili większego podniecenia duchowego, zdradził się, że napróżno szuka po świecie ukojenia po ciężkim zawodzie miłosnym, jaki go dotknął, wszystkie panie z pensjonatu, przejęte współczuciem i litością, zaczęły mu okazywać serdeczną życzliwość i sympatyę, wzrastającą z dniem każdym.

Już teraz w salonie zajmowano się nim tylko, stał się centrum, na którym spoczywało spojrzenie wszystkich obecnych, nie wyłączając starych dam rentierek i profesorów.

Można więc sobie wyobrazić przerażenie i zdumienie gości pani Donay, kiedy Julia, pokojowa, zbiegła dnia jednego, jak szalona z górnego piętra, krzyżąc, że pan d'Orwald został zamordowany. — Zniosła mu, jak co dnia, śniadanie do pokoju i zastała go w łóżku, leżącego bez życia. Wszyscy otoczyli pokojową, żądając bliższych wyjaśnień.

Julia opowiedziała, że nie odbierając odpowiedzi na kilkakrotne pukanie, postanowiła wejść do pokoju i zauważyła ku wielkiemu swojemu zdumieniu, że drzwi nie były tak, jak zawsze na klucz zamknięte. Wszedłszy, dostrzegła natychmiast pana d'Orwolda, leżącego w łóżku, jak się jej w pierwszej chwili zdawało, pogrążonego w śnie głębokim. Przybliżyła się więc i zawołała na niego, najpierw cicho, następnie donośnym głosem. Ale pan d'Orwald się nie zbudził. Wzruszona i już zaniepokojona tem milczeniem nienaturalnym, trzymając w jednej ręce tacę ze śniadaniem, drugą ręką dotknęła jego ramienia.

Lecz kiedy i na ten ruch pan d'Orwald nie reagował zupełnie, ujęła go za rękę!

Ta ręka była już zimna!

Przerażona, zrozumiałwszy już teraz, że stało się nieszczęście, uciekła, krzyżąc i upuszczając trzymaną w ręce tacę.

Przed nadbiegłą panią Donay i pułkownikiem, pokojowa powtórzyła to zeznanie raz jeszcze, utrzymując z całą stanowczością, że pan d'Orwald nie żyje, bo gdyby nawet był omdlał, to wołanie jej głośnie i potrząsania, wkońcu filizanka gorącej czekolady, wylana na łóżko, byłyby go do przytomności przywróciła.

Pułkownik natychmiast posłał ogrodnika po lekarza i wszyscy obecni wraz z pokojową udali się na górne piętra.

Idąc po schodach pani Donay, która uwierzyć nie mogła w tę nagłą śmierć swojego lokatora, bo ani na chwilę przypuścić nie chciała, że mógł zostać zamordowany — przypomniła sobie, że pan d'Orwald, który miał zamiar wieczorem udać się do teatru, zaraz po obiedzie zrezygnował z tego projektu. Być może, że już wówczas czuł się niezadowolony. — Ale dlaczego nie wspomniał o tem nikomu?

Ale kiedy pani Donay weszła do jego pokoju, zrozumiała odrazu, że lokator nie umarł naturalną śmiercią, lecz rzeczywiście zamordowany został.

Wielkie plamy krwi, niezauważone przez pokojową, purpurowymi śladami znaczyły prześcieradło.

Pani Donay, panując wysiłkiem nad ogarniającym ją wzruszeniem, podeszła do łóżka i stanęła zdumiona, nie mogąc słowa wymówić. Twarz jej pobladła silnie i szeroko rozwartymi źrenicami patrzyła przed siebie, na pół nieprzytomna z wrażenia. W bezsilności swojej odwróciła się w milczeniu do stojącego za nią pułkownika, którego twarz niemniej wyrażała zdumienie.

Jednogłośnie okrzyk zdziwienia i przestachu wybiegł z ust otaczających.

Łóżko było puste!

Po chwilowym osłupieniu wszyscy zwrócili się ku otwartemu oknu. Ale na dole, na trawniku, nie było żadnych śladów, tylko trawa cokolwiek zdeptana wskazywała, że ktoś niedawno tędy przechodził.

Pułkownik zaś na krawędzi okna znalazł po baczniejszych oględzinach lekkie znaki drabinki sznurowej.

To odkrycie silnie poruszyło wszystkich. Julka, pokojówka, pierwsza osoba, która spostrzegła wypadek, drżała nerwowo i powtarzała w kółko, że widziała dokładnie na łóżku bezwładne ciało młodego człowieka, że dotykała się go nawet!

Jako dowód prawdziwości swoich słów, wskazywała na szczątki porcelanowego serwisu, leżące na podłodze i na wielką plamę, znaczącą prześcieradło.

Odrzuciła nawet kołdrę z łóżka, zwracając uwagę na wyraźny odcisk ciała, utworzonego na miękkich materacach.

Nie mogło być żadnych wątpliwości. Pan d'Orwald najwidoczniej został zamordowany i zaraz po odkryciu zbrodni zuchwali mordercy unieśli jego zwłoki. A stać się to musiało przez krótki okres czasu, w którym pokojowa Julka uprzedziła gości pensjonatu o wypadku.

Pan Ricotte postanowił bezzwłocznie uprzedzić policję i zarządzić śledztwo w zakładzie i otoczeniu, dla przekonania się, czy winni nie znajdowali się jeszcze na miejscu.

W ślad za pułkownikiem pani Donay wyszła z pokoju i przechodząc koło drzwi, poślizgnęła się na jakimś przedmiocie. Cofnęła się gwałtownie, bliżka omdlenia, rozpoznawszy w tym przedmiocie palec ludzki, krwią ociekający.

Na krzyk jej zbiegło się parę osób i każda z nich twierdziła, że to musi być palec zamordowanego pana d'Orwolda. Pułkownik, drżąc lekko, podniósł krwawy szczątek i złożył go na łóżku.

Odkrycie to jednak nie wyjaśniało sytuacji i podczas kiedy pani Donay musiała zająć się ratowaniem jednej z pań, która osłabła na ten widok wstrząsający, pułkownik Ricotte pospieszył zarządzić rewizję pensjonatu.

Lokatorowie innych pokojów, zwabieni krzykiem i poplochem, zbrali się na schodach, komentując żywo wypadek. Tylko profesor Schoetten, poważny staruszek, Niemiec, spał jeszcze, nie wiedząc o niczem. Musiano silnie pukać do drzwi jego pokoju, aby go zbudzić. Wystraszon, zduszonym głosem zapytał o powód tego nagłego przebudzenia, mrużąc coś niezrozumiałego pod nosem.

Kiedy w kilku słowach poinformowano go o zdarzeniu, wyskoczył z łóżka i zarzuciwszy na siebie staroświecki szlafrok i czapkę, wybiegł, błagając obecnych o opiekę i ratunek.

Z wielkim trudem zdołano go przekonać, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo i uspokojono cokolwiek.

Poczem pułkownik, wzięwszy ze sobą kilku odważniejszych mężczyzn, wyszedł przeszukać najdrobniejszy kątek domu, nie wyłączając strychu i piwnic. Poszukiwania te jednak nie wydały żadnego rezultatu. W ogrodzie wprawdzie znaleziono ślady stóp, wiodące do okna zamordowanego, lecz gubiły się one wkrótce w gąszczach.

Mordercy musieli unieść zwłoki swojej ofiary przez wąski korytarz, ciągnący się wzdłuż remizy automobilowej, oddawna stojącej bez użytku i przeszli przez ogród, przechodząc koło domku ogrodnika. Tenże jednak nic nie słyszał, chociaż od samego rana nie wydalął się wcale z ogrodu. Raz tylko na kilka minut pobiegł do pensjonatu, zanosząc kosz jarzyn do kuchni. Mordercy musieli być bardzo zręczni i przebiegli, jeżeli w obecności wszystkich zamieszkujących pensjonat mogli dokonać tak śmiałej zbrodni.

W czasie krótkiej nieobecności ogrodnika wślizgnęli się do ogrodu, a następnie do mieszkania i dziwnym zbiegiem okoliczności wtargnęli do pokoju swojej ofiary w chwili, kiedy pokojowa alarmowała dom cały. To przypuszczenie było możliwym, ale teraz nasuwało się pytanie, kiedy, jak i w jakim celu dokonali zamachu na lokatorze pani Donay.

Wiadomość o wypadku, jaki się wydarzył w známym i cieszącym się najlepszą opinią pensyonacie pani Donay, rozeszła się lotem błyskawicy po przedmieściu, wywołując poploch i przeróżne komentarze. Przybycie zaś urzędników policyjnych, zawezwanych przez pułkownika Ricotte, zgromadziło na ulicy tłum ciekawych i żadnych sensacyi. Składał

się on z kumoszek gadatliwych, sąsiadów, sklepi-karek i dostawców i wzrastał z każdą chwilą.

Wiliam Tharps uśmiechnął się ironicznie, kiedy powóz, którym jechaliśmy, wjechał w ulicę, gdzie znajdował się pensjonat pani Donay. Wysiadł po-spieszenie i nie zwracając najmniejszej uwagi na otoczenie, wszedł na schody.

Byłem przypadkowo w jego mieszkaniu, kiedy inspektor Audral, jeden z jego zaufanych ludzi, za-wiadomił go telefonicznie o zaszłym wypadku. Nie porozumiawszy się nawet ze mną, pociągnął mnie przemocą do samochodu, przejeżdżającego właśnie ulicą i przybyliśmy do Saint Mande w pięć minut zaledwie po przyjeździe komisarza policyjnego i ajentów.

Z przyjemnością prawdziwą śledziłem zawsze zdmnienie pana Dumont, szefa policyi, ilekroć na miejscu nowo dokonanej zbrodni zjawiał się nagle i nieoczekiwanie mój przyjaciel. Ale tym razem twarz jego wyrażała takie silne i komiczne zdziwienie, że nie mogłem powstrzymać się od śmiechu.

Pan Dumont, kiedy minęła pierwsza chwila osłupienia, podszedł do nas z wyciągniętą ręką i rzekł dobrodusznie:

— Pan musi mnie zawsze uprzedzić, panie Tharps. Niech mnie dyabeł porwie, jeżeli wiem, skąd się pan równocześnie z nami dowiaduje zawsze o popełnionych zbrodniach. A przecież to nas uprzedzają pierwsi.

Wiliam Tharps nie uznał za potrzebne tłumaczyć się jaśniej i odparł żartobliwie:

— Unika pan w ten sposób potrzeby komunikowania mnie, panie Dumont. Oto wszystko. — A przyznać pan mnsisz, że niejednokrotnie dopomogłem wam dzielnie w waszej pracy.

— A mnie się zdaje — rzekł pan Dumont — że umiał pan sobie wyrobić posłuszeństwo u moich podwładnych.

Wiliam Tharps w odpowiedzi uśmiechnął się tylko i pośpieszył do ogrodu.

Widziałem, jak dokładnie badał trawnik pod oknem pokoju pana d'Orwalda, mierzył, oddalał się, by znowu powrócić i mierzyć raz jeszcze, zastanawiając się przytem głęboko. Kiedy po paru minutach znowu przyłączył się do nas, dostrzegłem na jego twarzy tajemniczy uśmiech. Ale nic się od niego dowiedzieć nie mogłem, bo znikł natychmiast, a kiedy zjawiał się po chwili, najspokojniejszym głosem zapytał szefa policyi o wynik jego spostrzeżeń. Pan Dumont powtórzył mu tylko odebrane od agenta nieliczne wyjaśnienia, a następnie wszyscy w towarzystwie sędziego śledczego pana Cramagel byliśmy obecni przy przesłuchaniu gości w pensjonacie pani Donay i służby. Lecz przesłuchanie to nie ujawniło nic nowego. Goście pani Donay, jak również i ona sama, byli tak wzrnszeni i zdumieni tem tragicznym odkryciem, iż nic logicznego od nich usłyszeć nie było można. Część z nich dopiero w ostatniej chwili dowiedziała się o wypadku, nagle przebudzona popłochem, panującym w pensjonacie i krzykami nie mogącej się uspokoić pokojówki. Pan Dumont wraz z dwoma agentami zwiedził wszystkie pokoje mieszkania i pozostawił inspektora na straży przy pu-stem łóżku pana d'Orwalda.

W pokoju tym nie odkryto żadnych śladów walki. Każdy sprzęt stał na swoim miejscu, łóżko przygotowane było na noc, obok stolik z karafką i szklanką nietkniętą. Tylko krwawe plamy, pozostałe na prześcieradle i palec odcięty, znalezione przez panią Donay, świadczyły o dokonanej zbrodni. Poza tem jeszcze ślady, odkryte przez pułkownika Ricotte na parapecie okna, które, jak orzekł pan Dumont, pochodziły od drabinki sznrowej, którą posłużyć się musiał zbrodniarz.

Wiliam Tharps, uzbrojony w szkło powiększające, badał każdy sprzęt, dywany i podłogę z drobiazgową ścisłością. Trwało to dosyć długo. Kiedy nareszcie wyprostował się, żywy ogień błyszczał w jego jasnych oczach. Przenikliwym spojrzeniem objął raz jeszcze pokój cały. Na widok małych drzwi, wiodących do gabinetu toaletowego, twarz jego rozjaśniła się, wszedł tam szybko i wyniósłszy parę trzewików, należących do pana d'Orwalda, zdjął z nich miarę i odrysował obwód podeszwy na kawałku papieru. Załatwiwszy się z tą czynnością, wymiary te schował do kieszeni i nie wyrzekłszy słowa, wyszedł z pokoju.

Znając go dobrze i będąc obecnym przy wielu jego śledztwach, wiedziałem, że już wpadł na trop zbrodni i że wkrótce tajemnica cała wyjaśniona zostanie. Widziałem go później, jak węszył po wszystkich kątach domu, błądził po ogrodzie, trzymając wzrok spuszczonej na ziemię i co chwila do znalezionej odcisków stóp na ścieżkach i trawnikach przykładał wyciętą miarę podeszwy z trzewika pana d'Orwalda. Zdziwiony byłem mocno tym widokiem.

Czyżby Tharps przypuszczał, że lokator pani Donay symulował zabójstwo i uciekł potajemnie przez okno do ogrodu? Ale w jakim celu? Podczas tego pan Dumont i sędzia śledczy rozmawiali żywo, omawiając sprawę, która zaciekawiała ich tajemniczością swoją.

Zabójstwo pana d'Orwalda, o którym nic zgola wiedzieć nie mogli, mniej ich dziwiło, jak nagłe zniknięcie jego zwłok i to w chwili, kiedy mieszkańcy pensjonatu i służba, zaalarmowani wypadkiem, biegali po korytarzach i schodach.

Raz jeszcze zawezwali pokojową Julkę i zapytali ją, czy wszedłszy ze śniadaniem do pokoju lokatora po odkryciu już jego śmierci, nie zauważyła, że tenże miał palec odcięty. Ten szczegół jednak uszedł zupełnie jej uwagi, co dało się łatwo wytłumaczyć pozycją ciała, spoczywającego w łóżku. Prawa ręka pana d'Orwalda leżała po stronie ściany, napół ukryta pod kołdrą.

Po odejściu służącej pan Dumont nie mógł ukryć swojego niezadowolenia.

— Jeszcze nigdy w życiu mojem nie spotkałem się z tak dziwnym faktem — rzekł do sędziego śledczego. — Mordują człowieka w pensjonacie znanym z jaknajlepszej opinii, odcinają mu palec, a następnie trup jego znika! I do tego żadnych śladów walki w pokoju, żadnych śladów, mogących nam wyjaśnić sytuację.

— Żadnych śladów walki — powtórzył dobitnie wchodzący właśnie Wiliam Tharps. — Ten punkt jest najważniejszy. Poza tem nie wiemy nic. I zdaje mi się, że ta okoliczność zaważy najwięcej w śledztwie.

— Jak to pan rozumie? — zapytał sędzia śledczy.

— Dotąd rozumiem jeszcze bardzo mało — odparł Tharps. — Konstatuję tylko wraz z panami, że nie było żadnych śladów walki i nad tem dobrze nam się zastanowić należy.

— Czy odkryłeś co w ogrodzie? — zapytałem.

— Tyle tylko, że morderca posługiwał się drabinką sznrową, jak to już zauważyliśmy i że na zewnątrz niema żadnych odcisków jego stóp.

— To wszystko? — zawołałem rozczarowany — Masz słusność, mój kochany, twierdząc, że niewiele jeszcze wiesz o całej sprawie.

— Tak sądzisz? — uśmiechnął się tajemniczo Tharps — Poczekaj, powiem ci coś jeszcze. Wychodząc z tego pokoju, zebrałem pewne spostrzeżenia, które, jak przypuszczam, więcej panów zainteresują.

— Mów, mów! — zawołałem uradowany, że nie zawiodłem się na nim.

— Przekonawszy się, że okno to wcale nie zostało naruszone — wyrzekł powoli Tharps — i że drzwi na wewnątrz na klucz nie były zamknięte, mogę twierdzić stanowczo, że zbrodniarz ma współnika, który ukrywa się w tym domu!

— Wspólnika? Tu w naszym pensjonacie? — zawołał pułkownik Ricotte, przysłuchujący się rozmowie urzędników — To niemożliwe! Pan się myli!

— Nie myślę się, kochany panie — odparł zimno Wiliam Tharps — i należy tylko zastanowić się chwilę, aby uwierzyć w prawdziwość mojego twierdzenia. By wejść przez okno zamknięte, przyzna pan, że trzeba rozbić jedną lub dwie szyby, wsunąć ramię przez otwór i otworzyć. Otóż, jak panowie wi-dzą, szyby tego okna są wszystkie nietknięte.

— To prawda! — przyświadczył sędzia śledczy — Spostrzeżenie pana Tharpsa jest zupełnie słuszne.

— Dodajmy jeszcze do tego — mówił dalej detektyw — że, jak już wiemy, użyto drabiny sznrowej. Otóż tylko współnik, zamieszkujący pensjonat, mógł wyświadczyć tę przysługę zbrodniarzowi, zamknąć okno i drzwi i wyjść następnie z pokoju.

— Ależ to jest całkiem logiczne! — rzekł pan Dumont — Żo też wcześniej nie zauważyliśmy tego!

— W takim razie ja byłbym tu zbyteczny — odparł z udaną skromnością Wiliam Tharps — Pan zapomina, panie Dumont, że już niejednokrotnie współdziałem z panem i to dosyć szczęśliwie.

Po twarzach urzędników policyjnych przebiegł cień niezadowolenia. Czuli się zawstyżeni, że i tym razem detektyw angielski okazał się przebieglejszy od nich.

Tylko jeden pułkownik nie chciał się znać za pokonanego.

— A może znajdzie się inna hipoteza, któraby lepiej wyjaśniła stan rzeczy — rzekł, zwracając się do sędziego śledczego.

— Jest jeszcze jedna — odpowiedział z lekkim zniecierpliwieniem detektyw. — Możliwym jest, że pan d'Orwald sam sobie okno otworzył i w ten sposób ułatwił przejście swojemu mordercy.

— Ależ to absurd, kochany panie — zawołał pułkownik Ricotte, ze zdumieniem patrząc na Wiliama Tharpsa. Detektyw w milczeniu wzruszył ramionami i odwrócił się w inną stronę, zaznaczając w ten sposób, że niema już nic więcej do powiedzenia.

— Przypuszczenie to jednak — odezwał się do-tąd nie mieszający się wiele do rozmowy sędzia śledczy — tłumaczyłoby, dlaczego w pokoju zbrodni nie odnaleźliśmy śladów żadnych. Bo przecież pomiędzy mordercą a ofiarą walka wywiązać się musiała, gdyby nawet ta ostatnia we śnie zaskoczona została. Ta okoliczność jest dosyć ważną.

Po chwili wyszliśmy wszyscy z pokoju pana d'Orwalda i zeszliśmy do gabinetu pułkownika Ricotte, gdzie już w obecności pani Donay ciągnęliśmy rozpoczętą rozmowę.

Pani Donay, zainteresowana przez pana Dumont, oświadczyła mu, że przyjęła pana d'Orwalda do swojego pensjonatu na mocy polecenia jaknajpo-ważniejszego, że jej znajomi wyrażali się o nim jaknajlepiej.

Sędzia wysłuchał jej słów i zapytał nagle po dłuższym milczeniu:

— Czy przypuszcza pani, że jej lokator mógł dobrowolnie wpaść do swojego mieszkania człowieka, który następnie stał się jego mordercą?

Młoda kobieta nie wiedziała, że przypuszczenie to już było przez urzędników policyjnych omawiane i ze zdumieniem spojrziała na otaczających.

— Ah! Co za szczególna myśl — zawołała żywo poruszona — Panowie sądzicie, że ten nieszcześliwy, młody człowiek sam wprowadził tu swojego mordercę? Ale to niemożliwe. Zresztą zaręczyc mogę z wszelką pewnością, że nikt obcy nie wchodził do mojego domu. Musiałabym przecież pierwsza być o tem poinformowana.

— Ja tylko myślałem o wejściu przez okno — rzekł sędzia — bo jak wiemy, inną drogą zbrodniarz nie mógł się tu wcisnąć.

W kilku słowach opowiedział pani Donay o spostrzeżeniach uczynionych przez detektywa angielskiego.

Ale pani Donay niedowierzająco potrząsała głową.

— Nie, nie! To niemożliwe! — powtórzyła z przekonaniem — Panowie mylicie się niezawodnie. Dlaczego tak źle sądzicie o moim lokatorze, który wzbudził n nas tylko ogólną sympatyę i zainteresowanie? I w jakimże celu pan d'Orwald miałby w taki dziwny sposób sprowadzać do siebie nieznanego jakiegoś człowieka? To był człowiek zanadto wytworny i dobrze wychowany, ażeby się nciekał do tak podejrzanych środków! Nie mogę uwierzyć, żeby to mogło być prawdą!

Pan Cramagel nie nalegał więc dłużej na tym punkcie i wyjawiał drugie, ogólne przypuszczenie, że w pensjonacie, pomiędzy gośćmi lub też służbą mógł się znajdować współnik ukryty, który ułatwił mordercy całe zadanie.

Ale i ten wniosek pani Donay odrzuciła żywo, ulegając jednak żądaniu sędziego śledczego, kazała zwołać całą służbę pensjonatu. Byli to wszyscy ludzie, którzy oddawna pracowali u niej i którym ani ona, ani pułkownik nie mieli nigdy nic do zarzucenia.

Co zaś do lokatorów, nie było ani jednego, o którymby nie powzięli informacji poważnych, przed umieszczeniem ich w pensjonacie. Ze wszystkimi pani Donay utrzymywała życzliwy i przyjacielski stosunek, uważając ich za członków swojej rodziny.

Obecnie znajdowała się n niej panua Conlanges, córka byłego ministra, panie Bertoneau, matka i żona kapitana, panna Privat, dyplomowana konserwaty-stka, państwo Wilson, bogaci fabrykanci z Londynu, markiz de Santa-Cruza, kuzyn księcia Tolesco, wkońcu ostatnim przybyłym był profesor Schoetten, surowy i poważny uczonej i dwie stare arystokratyczne rodziny z Paryża.

— A czy może nam pani powiedzieć coś więcej szczegółowego o panu Schoetten? — zapytał Wiliam Tharps.

— To ciekawy typ — oświadczył pułkownik Ricotte — dawno nie widziałem takiego człowieka. Stary, zasuszony profesor, nie zajmujący się niczem, tylko swojemi księgami i pergaminami. Nie wychodzi prawie z pokoju i cały dzień śleczy nad zeszytami, które pokrywa niezrozumiałymi hieroglifami. Dziwak i niedołęga stary.

— Jesteś wuju bardzo złośliwy! — rzekła pani Donay, uśmiechając się — Lubię bardzo profesora Schoetten i nie pozwalam ci ośmieszać go w ten sposób.

(Dalszy ciąg nastąpi).



Oddział techniczny pułku przy budowie lazaretu polowego. Obok komendant por. Pomirski.

Rocznica szóstego pułku Legionów:

Tren bojowy pułku w pochodzie. Na przodzie komendant podchorąży Iwanowski.



Rocznica szóstego pułku Legionów: Nabożeństwo polowe.



Nabijanie dział.



Na wschodnim froncie:

Wesoła pogawędka oficerów u komendanta batalionu

KSIĘGA PAMIĄTKOWA WIELKIEJ WOJNY!

Dzieło to, wydane pod skromną nazwą **Kalendarza „Nowości Ilustrowanych“ na rok 1916**, zawiera **ilustrowany zbiór dokumentów obecnej wojny i jej dziejów na ziemiach Polski**. Oprócz opracowanej systematycznie historii wydarzeń wojennych (wraz z chronologią), poszczególne działy „Kalendarza“ dają tak w opisach, jak i w fotografiach, wyczerpujący obraz zniszczenia w Polsce, polskiego tułactwa wojennego i działalności bojowej Legionów.

Już tylko niewielka liczba egzemplarzy tego pamiątkowego wydawnictwa, które powinno znaleźć się w każdym domu polskim, jest do nabycia w Administracji „Nowości Ilustrowanych“ po cenie:

1 kor. 50 h. za egzemplarz broszurowany, **2 kor.** za egzemplarz oprawny i **3 kor.** za egzemplarz w płóciennnej, ozdobnej oprawie.

Kronika tygodniowa.

Już trzecią z rzędu kronikę przychodzi mi rozpocząć od krakowskiej Rady miejskiej, nie dlatego jednak, bym ją tak bardzo kochał, albo może aspirował do jakiego fotelika w pałacu Wielopolskich, ale z tego powodu, iż teraz odbywa ona ciągle posiedzenia i zajmuje się bardzo ważnymi sprawami, które aż się proszą, by je uwiecznić.

Doświadczony filozof powiedział, że rzeczy wielkie tworzą się pomału, nic też dziwnego, że i prezydium Wielkiego Krakowa konstituowało się też niezbyt pospiesznie.

Najpierw wybraliśmy sobie pana prezydenta i trzech wiceprezydentów, o czym zresztą już pisałem w poprzedniej kronice, na ubiegły tydzień zostawiono sobie decyzję, czy ma być jeden delegat Rady do prezydium, czy też więcej. Wyłonił się nawet wniosek, aby utworzono komisję prezydialną, złożoną z czterech członków prezydium miasta i ośmiu delegatów z łona Rady. Komisja ta w zastępstwie Rady miałaby załatwiać wszelkie sprawy nagłe, za takie przez prezydenta miasta uznane i Komisji przydzielone, co się jednakowoż ojcom Krakusowego grodu nie bardzo spodobało, łatwo bowiem zdarzyłoby się mogło, że zajmowanoby się tylko samymi bardzo nagłymi sprawami, wobec czego nastąpiłoby ograniczenie praw Rady miejskiej i przeniesienie przeważnej części jej kompetencji właśnie na ową Komisję prezydialną, pan prezydent zostałby zaś prawdziwym wielkorađcą rozszerzonego miasta Krakowa z władzą prawie nieograniczoną.

Kłócono się nad tym wnioskiem dłuższy czas, gdyż każdy z rajców chciał gwałtownie zostać panem delegatem, ostatecznie zdecydowano, że zostawi się dotychczasowego, pana Bandrowskiego, a nadto wybierze się jeszcze dwu, jednego z grona konserwatystów, drugiego z grupy republikanów, zwłaszcza, że pan Kosobucki tylko pod tym warunkiem zrzekł się kandydatury na fotel pierwszego wiceprezydenta, jeśli stanowczo, bodajby jako delegat, dostanie się do prezydium, które bez niego nie da sobie rady. Ponieważ tego rodzaju krótkoterminowy wymagalności musi być zaraz spłacony, stało się też tak, jak z góry już uplanowano i mamy obecnie prezydium w komplecie, uzupełnione trzema delegatami: Dr. Bandrowskim, Kosobuckim i drem Nowakiem.

Poza tem na tem samym posiedzeniu zajmowano się drugą bardzo ważną sprawą, mianowicie podwyższeniem rocznej pensji pana prezydenta z ośmiestu tysięcy koronek na dwadzieścia dwa. Wniosek motywowano ciężkimi czasami, drożyzną, oraz wszech-

stronnym rozwojem miasta od czasów ostatniej regulacji placu, co zawdzięczać należy niestrudżonym zabiegom Jego Ekscellencyi. Zresztą prezydent rozszerzonego Krakowa objął też funkcję wójtów gmin przyłączonych, słuszną więc jest rzeczą i sprawiedliwą, by był za to odpowiednio wynagradzany. Ot, weźmy sobie za przykład choćby Dębniki. Dopóki były samoistną gminą, wójt tamtejszy pobierał rocznie sześćdziesiąt guddenów pensji w gotówce oraz w naturze jedną parę butów i jedno podszycie. Dziś, gdy ten wydatek odpadł (a buty teraz takie drogie!), kwotę tą, co reprezentacja kosztowała, należy pomnożyć przez liczbę gmin przyłączonych, a pokaże się, że wypadnie więcej, niż cztery tysiące koron, więc miasto na tym interesie nic nie straci, tylko jeszcze zarobi.

Podwyższenie pensji pana prezydenta miało obowiązywać według wniosku referenta od lipca ubiegłego roku, sprzeciwił się temu pan Jan Kanty Federowicz, proponując datę pierwszego sierpnia b. r. wraz z poprawką, że podwyższenie to ma się rozciągać i na następców. Wniosek powyższy z poprawkami przyjęli radcy, między którymi niema ani jednego, któryby nie aspirował do godności prezydenta, hucznymi oklaskami i uchwalili bez dyskusji.

Oprócz tego zajmowano się i sprawą pełnej dożywotniej emerytury dla prezydenta, ewentualnie jego żony, na wypadek jego ustąpienia (tak zwana „emerytura honorowa“) i pensją emerytalną dla jego żony i dzieci, w razie, gdyby, czego nie daj Boże, mieszkanie w Krakowie lub Bonarce chciał zamienić na Królestwo niebieskie.

Dyskusja nad tymi punktami porządku dziennego była bardzo ożywiona, co zaś najważniejsze, przeciw uchwaleniu występowali przeważnie krakowscy demokraci z pod znaku „Nowej Reformy“, ale na nic się to wszystko zdało, tak bowiem uchwalono, jak sobie tego z góry życzone. Gdy Ekscellencya dowiedział się, że na siedemdziesięciu dwu głosujących czterdziestu dwu oświadczyło się za przyznaniem mu pełnej dożywotniej emerytury, odechnął z ulgą i rzekł do siebie:

— No! Mam przynajmniej zaopatrzenie na stare lata.. Ale to mi się należało..

Nad tem wszystkim radzono na tajnym posiedzeniu, na jawnym przyznano wszystkim trzem wiceprezydentom dotacje po dziesięć tysięcy koron rocznie, co interesowani z miłym uśmiechem przyjęli do wiadomości. Wniosek przyjęto bez dyskusji.

— A co będzie z delegatami? — zapytał ktoś z głębi sali.

— Sprawa jeszcze nie dojrzała, by się nad nią zastanawiać! — odparł spokojnie referent, złożył akta i zstąpił z trybuny.

— Do bani z takim interesem! — odezwał się znowu głos jakiś. — To im płaca, a my mamy pójść z kwitkiem?..

Z najważniejszą więc sprawą załatwiono się bardzo szczęśliwie. Maszyna prezydialna, której koła i kółka wysmarowano porządnie zlotem, funkcyjnować będzie odtąd należycie i prawdopodobnie nie zawiedzie, tu i ówdzie odezwą się nieraz może jakieś zgrzyty, ale trudno — idealnej konstrukcji maszyn autonomicznych dotąd jeszcze nie wynaleziono!..

Ileż to zajmuję się podwyższeniem czyjejs placu, tyle razy myślę też i sam o sobie, niestety, dawno już nie byłem w tem przyjemnem położeniu, w jakim od pierwszego sierpnia b. r. znalazł się ekscellencya Leo. Ale i tak nie rozpaczam, gdyż widzę, że mogą zawsze liczyć na Czytelników, zwłaszcza na Czytelniczki, które mnie nie opuszczają w ciężkiej chwili, gdybym przypadkowo wlaź w takową.. — Mam na to dowód, czarne na białem, w liście, w którym pewna osoba, wyrażając mi współczucie z powodu złamania ongiś parasola, ofiaruje mi nowy, honorowy egzemplarz, całkiem gratis i franco, z obowiązkiem tylko, bym sam się po niego zgłosił i zabrał go na własny koszt i niebezpieczeństwo.

Tego się właśnie boję! A nuż urządził w ten sposób na mnie zasadzkę któryś z mych przeciwników politycznych, bo i tych mam dosyć i zamiast z parasolem (tego się nie boję!) wyjdzie na me powitanie z laską? To byłoby straszne i dlatego pod wskazanym adresem nie idę. Ofiarodawca lub dawczyni, jeśli ma wolną a nieprzymuszoną wolę, niechaj pod adresem Redakcyi raczy nadesłać obiecany dar z dopiskiem „dla kronikarza“. Wybór pozostawiam własnemu uznaniu ofiarujących, obiecuję natomiast wdzięczność, ile razy będzie deszcz padać.

Zwrócono także moją uwagę na tę okoliczność, że może to być również dobrze zamach jakiejś Putyfary na cnotliwego Józefa.. Niestety, Józefem nie jestem i nigdy nim nie byłem, mam zresztą swą własną Putyfarę w osobie mej zacnej Weronisi i nie mam wcale zamiaru jej zmieniać. Po pierwsze, ona

by się na to nie zgodziła, po drugie, wie człowiek, co ma, nie wie zaś, co może dostać!

W każdym razie, jeśli owa obietnica „parasolowa“ była konkretną, cieszy mnie i ten dowód uznania, za który, o ile będę mógł, postaram się kiedyś w jakiś sposób odwdziżyć.

Otrzymałem również listowne zaproszenie od jednej z Czytelniczek (tak przynajmniej wnoszę z charakteru pisma), bym zmienił projekt i zamiast na południe, jak zapowiadałem, wybrał się tam, gdzie ona pędzi smutne dni słomianego wdowieństwa. — Musiałem odmówić, gdyż do roli pocieszyciela wdów, zwłaszcza zaś słomianych (więc łatwo zapalnych), zupełnie się nie nadaję, ze względu zaś na zbliżający się koniec wakacji zrezygnowałem już z wyjazdu na letnie wywczasy. skoro to dotąd nie nastąpiło. Poeci chwałą wprowadzić piękną polską jesień, ale ona, podobnie jak i lato, nie może się obejść bez deszczu i błota, przyzna zaś każdy chyba, że czas dżdżysty wygodniej spędzać w mieście, gdzie są jakie takie bruki, knajpki, cukiernie i kawiarnie, niż gdzieś w zapadłej Płidówce, kędy nosa za drzwi wystawiać się nie oplat.

Pozatem na zmianę decyzji i pozostanie w Krakowie wpłynęła także i niepewność sytuacji, która rzekomo ciągle się wyjaśnia, ale naprawdę w żaden sposób wyjaśnić się nie może. Czytamy o różnych ofensywach na wschodzie, zachodzie i południu, aż głowa boli, gdy się śledzi skutek ognia przygotowawczego, zaporowego i huraganowego (pewien pan nazywa go „bębnowym“, sprawa bowiem podobno taki hałas, jak jego pociechy). ale, by z tego miało się wyciągnąć jakieś wnioski o końcu wojny i rychłym pokoju, o tem niema ani mowy. Anglik się wziął, Francuz się wziął, Moskal także, my i Niemcy.. a jakże.. znak więc, jeśliś mądry, jaką na to radę! Przedtem Grecya nas intrygowała, teraz Rumunia zabiła nam klina w głowę, bo ani rusz dowiedzieć się, czego się z tamtej strony spodziewać. Jest jednak w Krakowie pewien pan, który coś o tem mógłby powiedzieć, jest bowiem „dostawcą dworu rumuńskiego i greckiego“, jako taki więc powinien być o wszystkim poinformowany. Ale, niestety, nie chce ani pary puścić, a na każde zapytanie w tej materii odpowiada z uśmiechem wytrawnego dyplomaty:

— Bardzo żałuję, ale to tajemnica stanu! Mówić mi nie wolno!..

Skoro tak, pomyślałem sobie, to dam wogóle spokój polityce, a zajmę się czem innym, co nie tylko mnie, ale i innym może przynieść pożytek. Ponieważ czas kanikularny jeszcze się nie skończył, więc sensacyi w pismach naszych nie braknie, znalazłszy w kieszeni kilka jeszcze żelaznych nowych dwudziestohalerzówek, podążyłem do cukierni i kazałem sobie podać cały stos gazet, pewny, że przecież coś ciekawego upoluję.

I nie zawiodłem się, dowiedziałem się bowiem, że nie tylko ludzie narzekają na podwyższenie cen tego trunku, ale cierpią na tem i zwierzęta, mające też skłonność do używania, a nawet nadużywania alkoholu. Ale w tem chyba nic dziwnego. Znałem w jednej wsi galicyjskiej gospodarza, który zwał się Zajac i pijał codziennie kieliszek wódki, drugi natomiast, Sroka, wolał piwo..

Ale wracajmy do rzeczy. Z pomiędzy zwierząt-pijaków wylicza autor artykułu słonie, małpy, psy, niedźwiedzie, konie i tak dalej. Zwłaszcza słonie tak mają lubić sznapsika, iż czasem udają chorobę, aby tylko dostać porcyę tego ożywiającego trunku.

I toby to myślał, że nawet bydłeta są takie mądre!

Murzyni afrykańscy stawiają u wejścia do lasów palmowych beczulkę piwa (ale nie takiej lury, jaką dziś pijamy za drogie pieniądze!..). Małpy wypijają jej zawartość i tracą możność odróżniania małpy od człowieka (i ludziom się to zdarza!..). Mvśliwy bierze za łapę pierwszą z rzędu małpę, ta chwytą łapę drugiej, druga trzeciej i t. d. i mazurowym krokiem podążają do wsi, tu dostają się do klatki, a stąd do menażeryi. Prawdziwa sielanka, prawdopodobnie od niej pochodzi znane przysłowie „kupił sobie małpę“.

Ponadto doświadczyłem się z tego samego artykułu, iż konie piwowarów nowojorskich, nadużywając piwa, tyją bardzo szybko, dostają zatłuszczenia serca i giną na *delirium tremens*. Papugi lubią podobno szampana, a w stanie podniecenia alkoholem są niezwykle zmyślnie i dowcipne, wrony są także skłonne do alkoholizmu.

Gdyby nie to, że artykuł ten wyszedł z pod pióra poważnego angielskiego przyrodnika, możnaby myśleć, że napisał go któryś z członków „Eleuteryi“, zwierzęta zaś, jak w bajce, zastępują tylko ludzi.

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka literaska.

Ułożył Ks. Kibicki, Kraków.

Wynaleź utwory podanych autorów. Poezmatowe ich głoski, czytane z góry na dół, tworzą nazwisko i imię polskiego komedyjopisarza i powieściopisarza

- Sienkiewicz?
- Kaczkowski?
- Wężyk?
- Kraszewski?
- Herder?
- Mickiewicz?
- Walter-Scott?
- Orzeszkowa?
- Göthe?
- Łoziński?
- Dumas?
- Kaczkowski?
- Sewer?

Logogryf.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiednimi literami, aby powstały wyrazy o podanym znaczeniu. Litery, wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, tworzą nazwisko niemieckiego filozofa.



Znaczenie wyrazów: 1 Ptak z rodziny jaskółek 2 Komary podzwrotnikowe 3 Owoc 4 Naczynie 5 Kompozytor włoski 6 Panujący w Turcyi 7 Jamochłon 8 Grzyb 9 Imię męskie.

Szarsze.

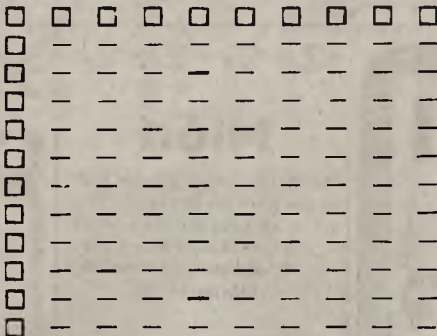
Ułożył Ks. Kibicki, Kraków.

Nie jest pierwsze drugiem-trzeciem
 Tak, jak całość twierdzi,
 Owszem, wielka, gdy się złącza
 W każdą wiosną sierzni,
 Niszczą pola i ogrody.
 Tam, gdzie całość rośnie,
 Toczy wedy swe wzburzone
 Hucząc, grzmą: donośnie

Logogryf.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiednimi literami, aby powstały wyrazy o podanym znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwiska dwu polskich powieściopisarzy.



Znaczenie wyrazów: 1 S ukany wyraz 2 Głównóg 3 Szkarłotnia 4 Wąż 5 Świątynia ateńska 6 Zawód 7 Inaczej sędzia śledczy 8 Forma rządu 9 Morski ślimak 10 Płaz 11 Choroba bydła rogatego 12 Pozwolenie drukowania (dawne łacińskie wyrażenie).

Zadanie do przedstawienia.

Ułożył S. Drewnenko, Prądnik.

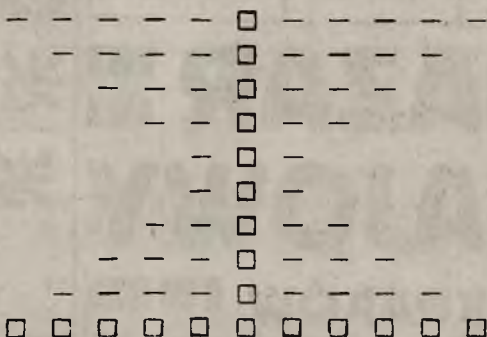
Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Oto kiep! Z Z śmieje się ze mnie zdala w stągwi.

Logogryf.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiednimi literami, aby powstały wyrazy o podanym znaczeniu. Środkowy rząd pionowy i ostatni poziomy utworzy nazwiska dwu rzeczników zniszczonej Polski



Znaczenie wyrazów: 1 Owad dźwiękzdylly (dwa wtr zy) 2 Imię żeńskie 3 Część mowy 4 Pseudonim polskiego homowaty 5 Wzyczna jednostka miernicza 6 Bog grecki 7 Owoc 8 Warzywo, używane jako przyprawa do potraw 9 Jagoda 10 Szukany wyraz.

Zadanie do przedstawienia.

Ułożył S. Drewnenko, Prądnik.

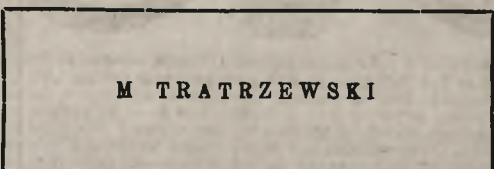
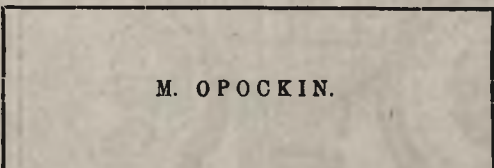
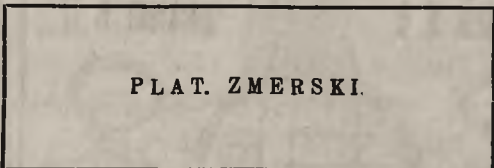
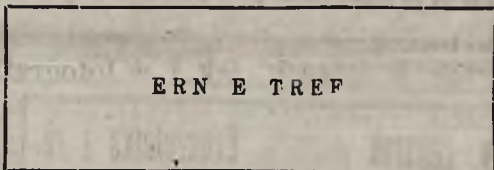
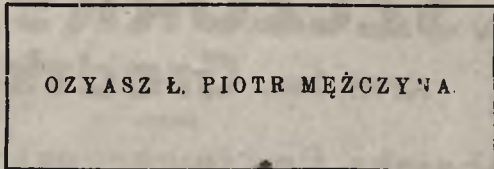
Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Ogórki będą rosły za palisadą. Ufam i dam

Bilety wizytowe.

Ułożył J. Przecławski, Podgórze.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcja do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości”** na r. 1916.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 31.

Zadanie do przedstawienia: Nie wszystko złoto, co się świeci

Prysłowiówka: Nie wyciągaj szyi, kiedy do ciebie nie piją

Trójkąt magiczny:

S t a n i s ł a w M o n i a s z k o
 T e o f i l L e n a r t o w i e z
 A x e n t o w i e z T e o d o r
 N i e d ź w i e d z i ó w k a
 I n t r o l i g a t o r z y
 S z c z o d r z e u i e c
 Ł n a z c z e w s k a J
 A b s t y n e n c y a
 W i l h e l m i n a
 M i z a n t r o p
 O r d y n a n s
 N o k t u r n
 I r k u e k
 U m b r a
 S o w a
 Z a n
 K u
 O

Zadanie do przedstawienia: Bez grzechu nie byłoby śmiechu.

Logogryf:
 R h e i m s
 H e l e n a
 E r y n i e
 I r o n i a
 M a k a t a
 S z a w e ł

Zadanie do przedstawienia: Chleb daje rogi, a głód nogi.

Zadanie do przedstawienia: Pan z panem zna się, a chłop z chłopem zasią.

Łamigłówka literaska:

- Krechowiecki.
- Annunzio.
- Zorjan.
- Ibsen
- Maciejowski
- Ibsen.
- E-teja.
- Rodziewiczówna.
- Zola
- Berent.
- Reymont
- Orzeszkowa.
- Dantowski
- Zola.
- Ibsen.
- Niemojewski.
- Staff
- Krechowiecki.
- Ibsen.

Bilety wizytowe: Cyzelator Wirtuoz. Ministrant Solistka. Palestrant

Dobre rozwiązania nadeszły Pp.: F. Horak Oświęcim, W. Rachwałski Bochnia, K. Ciesielski Poznań, S. Gałński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Sucha, J. Broda Kraków, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarzski Podgórze, M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewiół Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki, J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Sedyńska Zakopane, J. Kopczyńska Bierzanów, R. Knapik Kraków, W. Świrski Zakopane, Z. Rogozińska Kraków, S. Medyński Zakopane, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagańska Kraków, J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górka Kraków, J. Ciszewski Peszt, W. Błoński Kraków, J. Buczyński Kraków, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadłńska Kraków, W. Krzywicki Praga, K. Reichenberg Cieszyn, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podgłę, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów, T. Rzepcki Poznań, S. Kamocki Wiedeń, H. Ungar Wiedeń, R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokółowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Obst Praga, I. Brzostowski Chrzanów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. K. Leszczyński, Wiedeń. Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na kosztą poleconej przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Niebezpieczna rada.

Mojsie: Tobie głowa boli, Icek? Wajst di, wues? Mom lo ciebie dobrą radę: umyj sobie nogów, to tobie głowa przestanie boleć. Powiedział mi to jeden doktor...

Icek: A ryech in dir! Nogów mam sobie umyć? To jest a gefährliches Mittel...

Na ulicy.

Ona: Wiedziałam, że pańska miłość do mnie jest przemijająca...

On: Ależ, jak pani może coś podobnego twierdzić?

Ona: Proszę pana, to już jest drugi jubiler, którego mijamy...

Złośliwa...

— Co, pan chcesz się dla mnie zrujnować? Teraz nie wiem, czy wziąć to na karb wielkiej twej miłości względem mnie, czy też twej bezdusznej głupoty?...

Aha!

— Mamusiul! A w jaki sposób poznał tatuś mamusię, że się z nią ożenił?

— Widzisz, moje dziecko! Jako młody człowiek był on znakomitym pływakiem. Pewnego dnia przechodził koło stawu, w którym się kąpałam. Nagle straciłam grunt pod nogami i zaczęłam tonąć. Bez namysłu rzucił się za mną do wody i szczęśliwie wyniósł mnie na brzeg. Z wdzięczności oddałam mu za to rękę...

— Aha! Teraz dopiero rozumiem, dlaczego tatuś nie chce mi w żaden sposób pozwolić, bym się uczył pływać!...

Jedyny w Krakowie, Zakład pogrzebowy „Concordia“ Jana Wolnego
 który posiada własny wyrób trumien == Kraków, Plac Szczepański L. 3 (dom własny) == Telefon Nr. 381.

C. SZCZURKOWSKI
 Kraków, Grodzka 2
 poleca:
 Zabawki, Gry towarzyskie, Lalki itp.

Miód

zastępuje drogie masło. Bańka pocztowa 5 kg. 10 K. Wysyłka za pobraniem. Cenniki niemieckie lub czeskie wysyła Fr. Wenzel, Baumschütz Olomuniec 70.

KINO-WANDA

przy ulicy św. Gertrudy L. 5.

Co trzeci dzień nowy program.

Przedstawienia trwają w dniu powszednie: od godziny 4-tej do 11-tej, w niedziele i święta od godziny 3-ciej do 11-tej wieczór.

Wojenny zegarek i budzik K. 6. Branzoletka z zegarkiem K 12.



Wojenny zegarek z podwójnym relikwem J. Ces. M. cesarza Franciszka Józefa I. i Wilhelma II. albo z poczwornym relikwem „Viribus unitis 1914-1918“ w stalowej lub niklowej szcownicy z dobrym werkiem Anker K 6—, I. Jaskoła Kor. 8—, Radiowy K 10—, Prawdziwy srebrny K 15, Budzik klasyczny K 20—, Radiowy K 28—, odpowiednia skórzana opaska na rękę K 2— osobno. Branzoletka z zegarkiem z skórzanymi rzemykami duży format K 8—, radiowy K 10—, branzoletka z zegarkiem mały format według rysunku K 10—, 12—, radiowy K 15—, 18—, z precyzyjnym werkiem Anker K 24—, marki Cyma K 30—, Omega K 50—, radiowy K 10— więcej. Szkle ochronne według rysunku K 2— i więcej. Wojenny budzik niklowany 30 cm, wysoki K 6—, 3-letnia gwarancja. Wysyłka tylko za poprzednim nadesłaniem należności i 1— K na opakowanie, opłacone do całych Austro-Węgier i w pole przez 1-szy szwad zegarków wojennych

Max Böhmel, Wiedeń, IV. Margaretenstrasse 27/62. Oryginalny cennik fabryczny darmo.

WYROBY KRAJOWE

Rok założ. 1896. **D. Béze** Rok założ. 1880.
 Zakopane, Krupówki.
WIELKI WYBOR PERFUM.

Pamiątki patriotyczne. Wielki wybór biżuterii francuskiej i fantazyjnej. MOZAIKI. Prawdziwe granaty.	Wyroby rzeźbione Zakopiańskie. Wyroby skórzane Wielki wybór torebek damskich.	Wielki wybór ZABAWEK. Lalki Krakowianki. Lalki i toporki. Kartki korespondencyjne ilustrowane.
--	---	---

BAZAR KRAJOWY

KRAKÓW
 ulica Szewska 22
W LWÓW
 ul. Akademicka 10

poteca najtaniej wyrobu krajowego:

Płótna, sztyryngi, oksforty, płócienka, ścierki oraz bieliznę stołową, kilimy, portyery, serwety mohairowe i t. p.

Krem twarzowy jako puder.



Na bok z waszym pudrem, który tylko pory zatyka i z czasem tworzy bruzdy na twarzy. Używajcie **Dr. A. Rixa perłowego pudru-kremu** białego, różowego, kremowego. Puder-krem jest prawie chroniony, zupełnie nieszkodliwy, żadna szminka. Należy używać po użyciu otrzymują panie matową delikatną cerę, dla pielęgnowania skóry i piękności niezrównany, dobry i oszczędny w użyciu. Próbną dozę K 1'65, dużą dozę wystarczającą na 4 miesiące K 3'30. Wysyłka ściśle dyskretna.

Kosmetyczne labor. Dr. A. Rixa Wiedeń IX, Laktiergasse 6/P. Do nabycia w **Krakowie**: Apteka Wysznińskiego ul. Floryańska 15. Perfumerya Reim i Ska Rynek 37. W **Lwowie**: Perfumerya Składowskiego, apteka pod srebrnym Orłem ul. Krakowska 1. W **Białej**: Droguerya Polaczka ul. Kolejowa. W **Cieszynie**: Schw. Hunddrog i Anckerdrog.

Rowery Rival



Potrzebny uczeń do drukarni i kliszarni Nowości Ilustrowanych.

K 145 kompletny z torpedem, lampą acetylinową, dzwonkiem, torbą z przyrządami, Pompą polaniatą, płaszcz na wszystkie ceny. Pedaly za parę K 3—, Łańcuchy K 3'50. Łałarnia K 1'95. Rączki 30 hal. Ochroniacz od błota K 2'25. Lampy kieszonkowe i balery, maszyny do szycia i m. do mówienia. Cenniki Nr 140 darmo i opłacone. Specjalne ceny dla kupców.

Specjalny Dom przemysłu rowerowego

G. Wondrak
 Wiedeń, III. Hauptstrasse 144.

Jedyny w Przemyślu Zakład pogrzebowy „Concordia“ JAN SMYK
 który posiada własny wyrób trumien Przeprowadza ekshumacje i transport zwłok z każdej miejscowości. Wyjaśnien udziela się chętnie. **Przemyśl, Rynek L. 16**

Drukarnia D. E. Friedleina
 w Krakowie, ul. Kazimierza W. 95. Tel. 479

zaopatrzone jest w wielką ilość cziłonek różnego kroju i maszyny pospieszne. Wykonuje wszelkie roboty w zakresie drukarstwa wchodzące: broszury, cenniki, katalogi, cyrkularze, afisze, zaproszenia ślubne, tabele i t. p. szybko i starannie, po cenach umiarkowanych.

Założony w roku 1900! **Po drodze do Zakopanego** **ubioiry męskie** **Założony w roku 1900!**

lub wracając, najlepiej zaopatrzyć się można w wszelkie ubioiry męskie wykonywane na specjalne zamówienia podług miary

W ZWIĄZKU KATOL. KRAWCÓW
 W KRAKOWIE, Floryańska 7. WE LWOWIE, Plac Halicki 7.

Doborowe materyały na składzie w wielkim wyborze. Suknie dla Przewielebnego Duchowieństwa sporządzają fachowi specjaliści. (Na zapas do składu wyrabiane są ubrania gotowe o ile na to obecne stosunki wojenne zezwalają).

ADMINISTRACJA „Nowości ilustrowanych“ **odsprzedaje fotografie i klisze cynkowe** z każdego numeru po połowie ceny własnych kosztów.